

P I S M A
IGNACEGO CHODZKI.

—
X.

Służmy pocziwój sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

KOCHANOWSKI.

P I S M A IGNACEGO CHODŹKI.

X.

DWIE KONWERSACYE Z PRZESZŁOŚCI.

Wydanie nowe.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1875.

X

Дозволено Цензурою 15-го Іюля 1875 года.
Вильна.



ВИЛЬНА. Въ Типографіи п. ф. Осипа Завадзкаго.
(Заяковъ переулкъ, N. 149).

KONWERSACYA SZLACHECKA

PRZEDKILKODZIESIĘCIOLETNIA.

I.

Przebywszy Wilię za Smorgoniami, na trakcie z Wilna, w głębszą północną Litwę wiodącym, wjeżdża się w bór gęsty, i przez dwie mile drogę tylko przed sobą widzieć może podróżny; lecz nagle otwiera się las i miła a gęsto zamieszкана rozwija się okolica. Gdziekolwiek rzuci się okiem, wśród pól urodzajem okrytych, wśród zieleniejących się łąk i gajów, ujrzyś to długie i szikowne sioła, to dwory i sady, to świecące się zdaleka na kościołach i kaplicach krzyże, jakby godła Opatrzności i błogosławieństwa nad tą krainką. I tak z okiem i sercem rozweśloném, przebywasz jeszcze mil parę i zbliżasz się do drugieł rzeki, *Naroczy*, mniejszej od Wilii, jednakże znakomitszej między strumieniami litewskimi, i pięknoscią brzegów swych słynącej, za którą droga znowu w ciemny bór się wciska.

Wśród tej powabnej okolicy, w blizkim od drogi i wspanialszym nad inne, a do dziś dnia stojącym i zamieszkanym dworze, żył przed kilkudziesięcią laty *Joachim Chomiński*, stolnik oszmiański, pan dostatniej fortuny i szumnej szlacheckiej fantazyi, przedłużający w domowym życiu owe swobodne, nieogłędne na jutro, lecz zacne, szczere i pocziwe obyczaje, jakie natenczas już staroświeckimi zwać zaczęto.

Rzadko się wydalający z domu, bo we własnym używał dobrych czasów, i zamiast jeżdżenia w gościnę, do siebie zapraszał gości, a racząc wszystkich suto i sowito, na samotność uskarżać się nie mógł. W funkcyje publiczne nie wdawał się także, a chociaż wodził na Oszmiańskie sejmiki liczne partye dla pomocy przyjaciółom, i nieraz z bracią szlachtą łąba nadstawiał, ale go nigdy porąbać sobie nie dał, bo był znakomity i powszechnie znany gracz do szabli.

Zresztą, zawsze wesoły i dobrego humoru, sypał jak z rękawa staroświeckie dykteryjki, zagadki, sentencye, po łacinie szczególnie, i wierszem i prozą, i cudze i własne, bo i sam często *koncypował* wiersze; a wszystkie dawnym obyczajem, w jedną wielką spisywał księgę, mieszcząc w niej razem i wszelkie inne notaty publiczne, lub domowe i prywatne. Księga ta nie odstępowała go nigdy, zabierał ją nawet z sobą w gościnę; był to bowiem arsenał dostarczający mu wszelkiej broni, i żartobliwej dla utrzymania dobrego humoru w kompanii, i poważniejszej do przekonywania w dysputach. Żył więc sobie pan stolnik jak pan, i jak żyć każdemu

żyć, żył też długo, bo go i ja pamiętam jeszcze, jakbym nań teraz patrzył.

Rodzina Chomińskich, bardzo starożytna i dostatnia w Litwie, licznie natenczas rozrodzoną była. Pan stolnik miał kilku braci młodszych od siebie; był on najstarszym w rodzinie i mógł mieć lat ze sześćdziesiąt, w czasie i chwili, którą za treść do opowiadania biorę. Po nim następował brat jego, biskup Zenopolitański i dwóch jeszcze z kolei; a z tych najmłodszym był Ksawery Chomiński, na-przód pułkownik Pińskiej brygady, potem starosta piński, marszałek trybunalski, i nakoniec wojewoda braclawski. Dwadzieścia lat przedzielało go od najstarszego.

Ten był człowiek publiczny, i na takiego za młodu wykształcony, a zatem wchodził w skład nowego pokolenia ludzi gromadzących się około tronu króla, tak nazwanego *wskrzesiciela nauk*, do którego względów i szacunku francuzką tylko mową, strojem i obyczajem trafić można było. Pan wojewoda więc nietylko dobrze mówił tym językiem, ale go doskonale posiadał; a idąc za rozpowszechniającem się już upodobaniem w literaturze francuzkiej, wspomagany wrodzonym zapewne do poezji popędem i darem, tłómaczył na język ojczysty kilka cenniejszych dzieł poetycznych téj literatury (*). A tak łącząc w sobie i publiczne obywatelskie znaczenie, i oszacowywane natenczas bardzo, zwłaszcza w wyższych

(*) W roku 1817, w drukarni Misyonarskiej w Wilnie, nakładem P. Antoniego Chomińskiego, synowca Ksawerego, wyszły z druku tłómaczone i oryginalne poetyczne dzieła jego.

sferach towarzyskich, literackie zalety, miał przed sobą otwarte wszystkie drogi ku zasługom i dostojnościom; — lubo młodszy w rodzeństwie, lecz senatorską swą godnością dodając nowego lustru znakomitemu zkład inąd imieniowi, był *de facto* głową rodziny. Jeden tylko pan stolnik, lubo w duchu kochał i szacował brata, ulegać wszelako preponderacyi jego, zwłaszcza widocznie, nie chciał, i w potocznych sprzeczkach stawał mu zawsze w opozycji, niekiedy z przekonania, wiążącego się w nim z umykającą się przed nowemi ideami przeszłością; niekiedy zaś z przekory tylko, i byle conceptem spylić mądrego pana wojewodę.

Lecz żeglując tak po burzliwém życia publicznego morzu, nie zawsze szczęśliwie zawijał do portu wojewoda; znaczenie powszechne rosło, ale fortuna zmniejszała się.... Człowiek, który na facyacie jednego ze swych rezydencyonalnych pałaców napisał godłem czterowiersz:

„Rozumnym radom,
Skromnym biesadom,
Cnocie z honorem,
Staję otworem!“

nie był zapewne przyjacielem skrzętnéj oszczędności, która zbiera i rozpraszać nie daje, a uczy dziś umknąć się z wydatkiem, choćby kosztem osobistéj konsyderacyi, tak naówczas drogiej ludziom stojącym na wyższych stopniach społeczeństwa. Rozmai-téj więc doświadczał w swéj fortunie alternaty, to pańskie *dostatki*, to pańskie *ostatki*, co wszakże nie ujmowało mu najmniej, ani powszechnego znacze-

nia i powagi, ani wysokich wstępów, do których z urodzenia i osobistych przymiotów i rozumu miał prawo.

Pułkownik Petyhorskiej brygady, jakem to powiedział, starosta piński, z kolei marszałek trybunalski i nakoniec wojewoda braclawski — a więc wysoki dostojnik w narodzie — często jednak, gdy okoliczności nie dopisały, dochody się wyczerpały i ścisnęły a kredyt chybił, brat pan Ksawery przybywał na czas pokuty i oczekiwania do brata, pana Joachima. Zajmował on natenczas oddzielny, na jego przybycie zachowywany zawsze pokój, i teraz jeszcze przez nowego dziedzica domu tego nie naruszony i z całém swém staroświeckim przybraniem zostawiony, — a tam, unikając, ile przyzwoitość wymagała, zgiełku, jaki każdodziennie prawie panował u gościennego pana stolnika, poświęcał *muzom* godziny swego ze świata wygnania. Czytał, pisał, tłómaczył, nim znowu jakaś sukcesya, która nie raz w szerokich téj familii związkach się wydarzała, lub jaki inny pomyslny obrót rzeczy, a nawet raz i bogate z Tyzenhauzówną ożenienie, nie wywołało go z zielonego pokoju i pustelnika nie wywiodło na świat.

W najbliższém od pana stolnika sąsiedztwie, o miedzę, jak to powiadano, mieszkał natenczas w swoim dziedzicznym folwarku pan Michał Ch.... wojski oszmiański. Może niejeden z moich czytelników zna go, jeżeli mu się zdarzyło czytać pismo *Jana ze Świsłoczy* (*), gdzie on w pierwszej powieści, pod

(*) Pisma rozmaite Pana *Jana ze Świsłoczy*. Wilno, w drukarni A. Marcinowskiego, 1841 r. Powieść pierwsza — *Pan Wojski*.

tytułem własnegoż jego urzędu, najprawdziwiej jest odmalowanym; albo któż nie czytał Pana Podstolego, do którego pan wojski z wielu względów był podobnym? Życie jego, w domu spokojne i bogobojne, za domem, w publicznej posłudze i urzędowaniu prawie nieprzerwanem, uczciwe, rzetelne i sprawiedliwe, jednało mu powszechny szacunek.

Nie tak jednakże wysoko jak pan wojewoda sięgał pan wojski. Był to urzędnik powiatowy, a lubo po dwakroć trybunalską zasiadał ławę, lecz urząd sędziego trybunału był czasowym, półrocznym zwykle, inne zaś *officya* wojewódzkie czy powiatowe były dożywotniami i przez recess tylko dobrowolny, lub postąpienie na wyższy stopień, pod sejmiki nowe podchodzić mogły. Deputatami zatem na trybunał obierani bywali i urzędnicy ziemscy, a po ukończeniu kadencji, wracali znowu do swych powiatowych *officyów*. Wojski, za przywilejem króla, był nadto pisarzem ziemskim oszmiańskim; urząd ten, skromnego na pozór tytułu, był wszakże jednym z najwięcej znaczących w powiecie. Pisarz bowiem, mając w swém zawiadywaniu akta powiatowe, mianując regentów, vice-regentów i całą kancelaryę sądownictwa, a przeto mając zręczność promowania uboższej szlachty, zjednywał sobie wielowładny wpływ na nią, tak, że nieraz i wysocy dygnitarze submitować się jemu musieli, gdy sejmikowe zamiary składały ich do szukania podpory w prawicy potężnej między szlachtą; a gdy on jeszcze nie potrzebował regenta dla pisania dekretów i gdy do znajomości prawa, łączył w sobie przymioty sprawiedliwego sędziego i gotowego na posługę powszechną obywatela,

natenczas powaga jego między powietnikami bywała wielką i prawdziwą.

Takim właśnie pisarzem był pan wojski, sąsiad pana stolnika. Dom jego, w którym wnuk dziś jego przemieszkiwa, niewielki lecz wygodny i schludny, a którego wewnątrz w dalszém opowiadaniu w części poznamy, zajmuje środek nader miłej wiejskiej pozycyi. Przed nim obszerny staw, czystą a rozległą szybą zwierciadlaną przedłuża daleko dziedziniec; za nim ogród, w który dom wrosłym być się zdaje, osłania go z tyłu i z boków, a rzeczka wypływająca ze stawu i biegnąca przez ogród, jest jakby ramieniem, łączącym w jedność dwie ozdoby mieszkania pocziwego człowieka. W ogrodzie altana z lip, natenczas już starych, była i jest główném tam miejscem, obejmującym i przypominającym rozmaite domowe dzieje, do których i opisująca się konwersacya policzyć się może.

Pan wojski i pan stolnik, przyjaciele serdeczni, odwiedzali się często; lecz gdy *fallax fortuna* dotknęła pana wojewodę i przywiodła go do brata, natenczas daleko częściej ten wygnaniec, gdy pora letnia była po temu, przesiadywał w altanie pana wojskiego. Ten, że był natenczas wdowcem, przeto żadnej w domu jego nie znajdując subjekcyi, tém ochotniej od natrętnego zgiełku wykradał się poeta, i piechotą lub prostą kałamaszką przybywszy do ogrodu, zajmował swój lipowy gabinet, pewny, że gdy go ujrzy gospodarz, na chwilę tylko serdecznem powitaniem przerwie mu ulubioną samotność i pracę.

Ta umiejętność stosowania się do położenia własnego, ta chęć uciekania się w przeciwnościach na

łono nauk i uspokajania niemi myśli, światowemi burzami rozbitych, były dowodem i cechą niepospolitego męża, a w wieku tamtym, wysoki dygnitarz kraju, tłumaczący Rassyna lub Delilla w wiejskim szlacheckim ogrodku, był także niepospolitem zjawiskiem. Przecież to nie jest moim wymysłem; piszę z opowiadania pana wojskiego, który mi nieraz w tejże samej altanie powtarzał: „Tu niegdyś pan wojewoda Chomiński, swoje tam jakieś *Tragedye* i *fabuły* koncypował.“



II.

Siedział raz tedy pan wojewoda nad stolikiem, gotowym dlań zawsze w altanie; na kanapkach darniowych porozkładane były książki; sam on z piórem w rękę to pisał, to się zamyślał i tarł czoło, to kassował, rzucał pióro a brał książkę w rękę i przechadzał się po długim szpalerze przedłużającym altanę, to nakoniec chłodził się piwkiem, właśnie na ten cel mu postawioném.

Że już długo bawił samotny pan wojewoda, przyzwyczajoném zdało się panu wojskiemu odwiedzić go. Wspomożemy się tu od *Pana Jana ze Świsłoczy* opisaniem figury pana wojskiego.

„Poważny mężczyzna, około sześćdziesięciu lat mający, wzrostu wysokiego, dosyć otyły lecz krzepki; twarz marszczkami jeszcze nie pokrytą, śniadą, rumianą i mocnych namiętności nie wyrażającą, zdobił wąs siwy mierniej wielkości; głowę miał wysoko

podgoloną, a ubranym był w żupanie białym letnim, po którym szeroki pas z jedwabiu utkany, zapięty był na przodzie wielką, złocistą, misterną roboty sprzączką; na koniec kołnierz biały, okrywający szyję, spajała piękna rubinowa szpinka.“

Tak w codziennym i niegalowym ubiorze, wojski zdawał się przyjmować bardziej skromnego poetę, niż senatora; chociaż o poecie naówczas nie myślał wcale, i nie wyobrażał, że pamięć poety dalej zajdzie w potomności niż senatora — Rzeczywiście nie przymuszał się dla przyjaciela i częstego gościa.

— A cóż panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju, czy nie dość już tej pracy? — rzekł wojski — i jezuici nad Alwarem nie męczyli tak swoich dyscypułów, jak pan siebie dobrowolnie nad tą francuzczyzną mordujesz.

— Nic to, nic, kochany panie wojski; ale w czas przychodzisz, bo właśnie skończyłem mą pracę — rzekł wesoło powstając Chomiński — i udało się nieźle.

— Chwała Bogu; czy to znowu jakie gospodarskie przestrogi i nauki, nad którymi panie wojewodo dobrodzieju mozoliłeś tu głowę, a zdaniem mojem na próżno, bo ich żaden nasz ekonom czytać nie będzie, a choćby i czytał, to nie zrozumie; gospodarstwo z książki, panuleńku! Boże odpuść! — Ale kiedy to pana zabawia, to i owszem.

— Nie, panie wojski — odrzekł uśmiechając się wojewoda — wytłómaczyłem teraz i po większej części w twojej altanie, tragedję jednego z najslawniejszych poetów francuzkich, posłuchaj końca.

— A to panuleńku zaczynasz od końca?

— Nie, ale dzisiejszą właśnie mą pracę chcę ci

przeczytać, a jest to opowiadanie kończące tę tragedję, i najpiękniejszy z niej ustęp.

Poeta chciał widać, jak zazwyczaj bywa, przedeklamować swoje wiersze, i sam się niemi nacieszyć; wiedział bowiem z niejednokrotnego doświadczenia, że wojski przez grzeczność tylko słuchał jego tłumaczenia *Delilla*, i nie pojmował jeszcze téj zasługi i chwały, jaką jednał już sobie natenczas każdy, dając dowód swych literackich zdolności.

— Słucham — rzekł wojski siadając z rezygnacją. Zaczął więc wojewoda podwyższonym głosem:

„Ledwośmy za Trezeńskie wystąpili mury.“

— A gdzież to te Trezeńskie mury, panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju? — przerwał wojski.

— W Grecyi, w Grecyi, kochany panie wojski.

„On na wozie otoczony strażą nieodstępną....“

— A któż to on? — przerwał znowu, a z tych przerywań poznał wojewoda, że chcąc aby słuchacz jego do końca był cierpliwym, potrzeba mu było choć jak najkróć i najzrozumiałej rzecz sztuki opowiedzieć.

On — rzekł więc — on, to główna osoba tragedyi, Hippolit syn Tezeusza, bo widzisz panie wojski, treść taka tragedyi. Pewny król Grecki, Tezeusz zwany, miał żonę Fedrę; a miał także z pierwszego swego małżeństwa, dorodnego syna, Hippolita.

Gdy Tezeusz był daleko od swego królestwa na wojnie....

— To pewnie panuleńku na Trojańskiej, bo ja o

innych wojnach greckich wcale mało niegdys w szko-
łach się nauczyłem; ale co o téj Trojańskiej, to
nam Jezuici uszy prześwidrowali, a na tym sła-
wnym koniu, ledwo sami nie jeździliśmy, przekli-
nając Judasza, który go do miasta wprowadzić po-
radził; bo ztąd panuleńku wynikło, że teraz *nec
locus ubi Troja fuit* (*)

— Nie, panie dobrodzieju; król Tezeusz panował
jeszcze przed wojną Trojańską; otoż gdy on był
oddalony, żona jego zakochała się w swym pasier-
bie, Hippolicie; a gdy ten nie był jój wzajemnym,
owszem ze wzgardą i zgrozą odrzucił jój zapaly,
ta niegodziwa macocha przed powracającym niespo-
dzianie mężem oskarżyła i spotwarzyła syna, że on
właśnie godził na honor ojcowskiego łoża.

— A to panuleńku, coś jak owa Putyfarowa.

— Prawda panie wojski, prawda, a dalibóg że
trafna uwaga twoja. Tezeusz zatem w zapalczywym
gniewie na syna, przeklął go.

— Trzebaż było pierwój zrobić regularną inkwi-
zycją, — rzekł wojski, — toby prawda wyszła na
wierzch jak oliwa, i zamiast cnotliwego syna,
przekląłby i wypędził precz do kata taką niegodną
babę.

— I to znowu prawda; ale natenczas—mówił uśmie-
chając się Chomiński—nie byłoby tragedyi.

— Mniejsza o to panuleńku, sens w niej moral-
ny, jak uważam, nie nowy; dawno to już i w przy-

(*) Ani miejsca gdzie Troja była.

słowie weszło: *Mulier sive amat, sive odit, nunquam nimis* (*). Ale słucham dalej.

— Neptun zatem...

— Ale! Neptun,... przypominam go; w wojnie Trojańskiej bardzo on wicherzył; był to bożek morza i wszelkich wód; widzisz panie wojewodo, że Iliadę kiedyś wertował — rzekł wojski i pokręcił wężem.

— I nie zapomniałeś jęj dotąd; otoż Neptun przyrzekł był kiedyś Tezeuszowi, że pierwszą jego prośbę wysłucha i ziści. Tezeusz zatem odezwał się teraz doń i prosił aby ukarał wyrodnego syna. Bożek dotrzymując przyrzeczenia, gdy Hippolit opuszczający zagniewanego ojca, oddalał się z Trezeny, stolicy Tezeusza, i jechał brzegiem morza, pobudził nań okropną morską poczwarę, która przestraszywszy konie o śmierć go przyprowadziła.

— Sprawiedliwy Neptun! niema co powiedzieć — mówił wojski pokręcając głową — przecież jako bożek powinien był znać, że gniew ojca był niesłusznym.

— No, stało się, panie wojski! i oto właśnie przetłómaczyłem opisanie téj śmierci nieszczęśliwego syna, które kończy tragedję, napisaną z téj starożytnéj treści przez sławnego poetę francuzkiego *Rassyna*.

— Słucham więc, słucham, panie wojewodo dobrodzieju, i tém chętniej teraz, gdy wiem o co rzecz idzie.

(*) Kobięta czy kocha, czy nienawidzi — nigdy w miarę.

Znowu więc poeta przybrał postawę dramatyczną i przed siedzącym wojskim nanowo zaczął:

„Ledwośmy za Trezeńskie wystąpili mury,
On na wozie, otoczony strażą nieodstępną,
Równie jak on milczącą i jak on posępną;
Biorąc drogę w Miceńskie która wiedzie strony,
Wolny puszczał leje koniom w myślach zanurzony.
Te przepyszne rumaki, które dawniej znały
Pana i głosem jego pęd swój kierowały,
Teraz z okiem ponurym i z głową schyloną,
Zdawały się przejmować myśl jego strapioną.
Wtém nagle ryk z przepaściów morskich się wypiera,
I gromem przeraźliwym powietrze rozdziera,
A ziemia z swych czeluści odpowiednim krzykiem
Na postrach świata z morskim zgadzała się rykiem.
Nam w głąb' serca krew zbiegła, skrzepły chłodem żyły,
Grzywy się oszołonym koniom najeżyły;
Aż w téj chwili przez grzbiety wzdętych morza fali,
Strasliwa ku nam góra z bałwanem się wali,
Dobiega, rozprasza się, a przez szum i parę,
Tuż przed nami okropną wytacza poczware!!!“

— Jezus! Marya! Józef! — krzyknął wojski i aż się cofnął ze stolkiem, na którym siedział, bo deklamator stosownym oburęcznym giestem, jakby mu pod nogi tę poczware wypchnął.

Zadowolony poeta wrażeniem, które sprawił, uśmiechnął się i deklamował dalej:

„Łeb straszny, rogi groźne, spod zbrojny w pazury,
Cały w łusce jaskrawej dziwotwor natury,
Czy żubrem nieprzepartym, czy go nazwę smokiem,
W grube kłęby węzowym tył przewijał tokiem;
Pod wyciem jego strasznym nadbrzeże trętowało,
I słońce nań z ohydą przez chmurę spójrzało....
Ziemię pod sobą wzruszył, tchem powietrze mroczył,
A wał, co go wyzionął, wzdrygnął i odskoczył!!!“

Tu się poeta zatrzymał, jakby dla nabrania tchu w piersi; wojski nie usiadł już po piérwszém prze-
rażeniu, lecz z natężoném okiem stał omamiony zu-
pełnie, a gdy Chomiński zamilkł:

— Panuleńku! — zawołał—to okropnie! to okro-
pnie! Dla Boga, cóż daléj się stało?

Tém bardziéj zachęcony wojewoda, kontynuował:

„Wszyscy w rozsypce, nie śmie nikt nadstawić czoła,
Hurmem się do blizkiego wszysej prą kościoła;
Sam Hippolit, dostojne plemie bohatera!
Wstrzymuje konie, porywa pocisk, naciera,
A rzutu swego pewny, ręką niezachwianą
Bok straszyla otwiera wskroś szeroką raną;
Bolem, gniewem, wściekłością miotana szkarada,
Pod same nogi koniom ulęknionym pada;
Tarza się, złość ją wspina, ze smoczego pyska,
Pianą, posoką, gniewem na chrapy im pryska!
Już tu górę nad niemi bierze bojażń głucha,
Nie masz dla ust wędzidla, nie masz na głos ucha;
Darmo pan na nie siły zażywa i sztuki,
Skrwawioną tylko pianą rumienią musztuki.”

Kilkakrotny trzask z biczu przerwał tu dekla-
mację.

— Któs nadjeżdża—rzekł wojski.

— To zapewne mój brat, pan stolnik, znam jego
stangreta po biczu, a oprócz tego miał on po mnie
przyjechać i razem z osobnym jeszcze naszym inte-
resem do pana; nie róbmy sobie subiekcyi, znajdzie
on nas i tutaj...

— Słucham więc daléj—rzekł wojski.

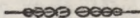
Wojewoda znowu:

„W tym zgiełku mówią nawet, że był postrzeżony
Jeden z bogów, bodzący koniom bok śpieniony:

Przez skały strach je pędzi, uniesione z drogi;
Oś gnie się, trzaska, pęka....”

— Oho, ho! — o dezwał się tu głos mocny—oho, ho! mój brat pan wojewoda tragedye tu widzę wyprawia dla pana wojskiego dobrodzieja, któremu solennie submituję się — mówił stolnik wchodzący do altany.

— Nogi pańskie weneruję, panuleńku! odpowiedział wojski, a wojewoda rzucił rękopis na stół, bo już wiedział, że przy bracie nie będzie rady z deklamacją.



III.

Pan stolnik, równego prawie wieku z wojskim, niższym był od niego wzrostem, a pękatszy tuszą; nigdy on inaczéj jak strojno do poufałego nawet sąsiada nie wyjeżdżał i wzajemnie, ktoby z równych jemu inaczéj się doń pokazał, miałby to sobie za ubliżenie i nieukontentowanie swe dałby mu uczuć bez ogródki. Pas lity, jedwab, i sajeta na szatach, spinka brylantowa na szyi, pierścień brylantowy na ręku i trzcina w srebro okuta w prawicy. Oko żywe, oblicze czerstwe, na którym wesoły uśmiech zawsze goszcząc, oznaczał niewątpliwie wewnętrzną swobodę i zadowolenie, żadną niezachwiane troską.

Trzy te figury w altanie, przedstawiać się mogły jako troje wyobrażeń, spierających się w kraju o

piérwszeństwo. Wiele już o tém napisano, wiele obrazów, wiele powieści na tém tle osnowano; wiele postaci dawnych i narodowych, mówiąc słowami poety:

„Wstają z martwych, przechodzą na prawdy zwierciadła,
Od twarzy ich Plutona przyłbica odpadła.”

Uczymy się ich obyczajów publicznych i domowych, uczymy się szacować to, cośmy niedawno mieli w poniewierce, znajdujemy dobre w tém nawet, cośmy śmiesznością nazywali i przekonywamy się, że to cośmy za postęp rozumu uważali, było rzeczywiście odstępem od cnót nam wrodzonych, a zatem prosto do zguby nas wiodło. Lecz bodaj dosyć już tej nauki, aby przesyt uczniom się nie naprzykrzył, nauczycieli nie spowszednił.... Już nawet ostrzegające w tym względzie symptomata czas od czasu objawiają się i w czytającej i w piszącej publiczności.... ten raz wszakże kontynuujemy.

Pan stolnik więc, jakby z dawnych portretów zdjęta figura, był jakeśmy to powiedzieli, mąż przeszłości. Pan wojewoda zwolennik nowych, cywilizowanych idei, pan wojski zaś, jakby na gwiłdzie ważąc się szali, mógł środkować między jedną a drugą ostatecznością — bo wiek i nawykienie przywiązywały go nałogiem, a nawet przekonaniem wewnętrznym do tego co było a znikało, lecz częste ocieranie się jego ze światem, rozmaite z nowym towarzystwem stosunki, które w publicznym urzędowaniu nader często mu się nastrezczały, oznajomiły go i ozwyczały z tą obecną przemianą głów i sentymentów ludzkich. Nigdy wpraw-

dzie w duszy jego nie było bezwarunkowej zgody, ale nigdy też nierozważnego *niepozwalam*; a gdy przyszło mu niekiedy o téj nowój oświacie w kraju poważną toczyć rozmowę, z niechętną miną i nie-dbale i pokręcając wąsa kończył sentencją: *Sunt bona mixta malis, sunt mala mixta bonis* (*)—i tak w rzeczy samej było, tylko że *mala* przeważały....

— Toćto to, — mówił dalej stolnik — pan brat dobrodziej ucieka odemnie, aby tu *tanquam in eremitorio vacare Musis* (**). Ale gdybyż to *Musis*! Muzy, to mopanie, boginie greckie i łacińskie, więc kiedy się z nimi bawić, to w ich rodowitych językach, i kiedy panie bracie dobrodziejku chcesz ich realne inspiracye dać nam poznać po polsku, to tłómaczże ich z tych języków, któremi one do poetów przemawiały—a nie z francuzczyzny.

— Ale bo widzisz brat — odpowiedział wojewoda— że i francuzcy poeci natchnienia Muz wzywają.

— A zkadże ich proszę uniżenie wzywać teraz mogą, kiedy ich krzyż święty i z ziemi i z nieba wypędził! nieprawdaż mopanie wojski? cha, cha, cha!

— Prawda panuleńku (***), prawda—odpowiedział wojski uśmiechając się.

— Ale nic dziwnego — mówił dalej stolnik — nic dziwnego; Francuzi to poganie! nie darmo mają między sobą antychrysta, niedowiarka i wcielonego diabła *Voltera*, którego książki znalazłszy onegdaj

(*) Jest dobro między złem, jest złe między dobrém.

(**) Jakby na pustyni bawić się z Muzami.

(***) *Mospanie, panuleńku*, przysłowia prawdziwe stolnika i wojskiego.

u wapana, panie bracie wojewodo, brat ksiądz biskup piękną dał jegomości admonicyę; ale cóż po tém? mopanie, wapan trzymasz się swojej francuzczyzny, jak pijany płotu.

— Naprzód, kochany stolniku—rzekł wojewoda—ten antychryst Volter dawno umarł.

— Wiem o tém; wszakże ksiądz biskup opowiadał wszeteczną śmierć tego ateusza i tentatora: *Exitus acta probat* (*); wziął diabeł co swego mopanie.

— Potém znowu — rzekł dalej wojewoda — nie wszystko co Volter pisał jest bezbożnem.

— Daj pokój mopanie wojewodo, daj pokój! *Abominatio Domini est omnis illusor* (**).

— Tak zdaje się, że tam jest cokolwiek dobrego, ale to zdrada mopanie; musi być wszystko złe kiedy Kościół święty i autora i dzieła jego potępił; a że pisał wiele, to jeszcze gorzej. *Qui utilia monet, non qui multa novit, sapiens est!* (***) a nawet lepiej byłoby żeby nic nie pisał. *Melius est honeste otiari, quam male agere* (****).

— Nie prawdaż, mopanie wojski?

— Nic dobrego i ja o Volterze nie słyszałem — odrzekł na to ponowione do siebie zapytanie wojski. Pan wojewoda zna to lepiej; jednak trudno dysputować przeciw tyłu i tak mądrym sentencyom, któremi jak mieczem obosiecznym na wszystkie

(*) Śmierć dowodem czynów życia.

(**) W obrzydzeniu u Boga jest każdy kusiciel.

(***) Nie kto wiele, lecz kto pożytecznie czyni, mądrym jest.

(****) Lepiej jest pocziwie próżnować, niżeli na złe pracować.

strony plażysz panuleńku, panie stolniku dobrodziej.

— Ja też nie dysputuję ze starszym bratem, którego rozum i elokwencya znaną mi jest dobrze — mówił wojewoda, z ironicznym uśmiechem uchylając głowę.

— Oho, ho! znamy się na farbowanych lisach — zawołał stolnik — znamy się; oni nas wszystkich mopanie wojski mają za...

— Przerywam panie bracie — rzekł żwawo wojewoda — bo powiesz słowo.... niesłuszne. Naszego pana wojskiego, i wszystkich jemu podobnych obywateli i urzędników szacuję wielce, i mam za najzacniejszych ludzi; i ciebie, mój kochany stolniku do ich rzędu policzając, kocham jak mego rodzonego a szanuję jako starszego brata, chociaż dziwaczysz się czasami.

— A widzisz mopanie, jaki subtelny rozum naszego pana senatora! Spenetrował od razu co miałem powiedzieć, i lisim conceptem zamydlił nam oczy. Wapan, z Galilei mopanie! z Galilei! to jest z nowój dworskiej szlifierni i szkoły....

— Którą dla tego najbardziej nie lubisz, — kończył wojewoda — że twą ulubioną łacinę z mowy polskiej ruguje.

— A choćby i dla tego, mopanie, *intra plures alias*; a zamiast poważnej łaciny, francuzczyznę naznacza za *summum arcanum* (*) rozumów ludzkich; a cóż to za komparacya? Daj mi wapan choć jedną sentencję francuzką, któraby i *ad rem*

(*) Najwyższa treść.

przypadała, i jakąś piękną a mężką sonancyą napętniała gębę. Ot na przykład: *Totus si illabitur orbis, impavidum faerient ruinae* (*). Każde *r* wymawiał stolnik z brzęcącym przyciskiem, jakby w harmonii naśladowniczej rujnującego się świata.— Cóż wapan na to? Wszak zdanie takie godne być w ustach i senatora i hetmana: *impavidum ferient ruinae!*... Wytlómaczże mi to panie wojewodo.

— A czemu nie? trzebaby tylko pomyśleć; wszakże wiesz bracie, że umiem po łacinie.

— Ot tak nie bardzo, między nami mówiąc, bo wapan *Scholarum Pijarum*; ale wytłómacz tak, aby przecie i po polsku było co powiedzieć i posłyszeć, i aby każdy zanotował to zaraz sobie i w głowie i w domowym raptularzu, jeżeli go pisze.

— Pewnie już to sam wytłómaczyłeś i do swój książki wpisałeś, a mnie wyzywasz *de plagis*; lepiej powiedz i damy bravo.

— Zgadłeś, mopanie, wytłómaczyłem i do księgi *ad perpetuam rei memoriam* (**) wpisałem; brava zaś szczeremu mi nie dasz, bo wszystkiemi memi wierszami spernujesz; a jednakże mopanie wojski, gdy jaką zagadkę mojej kompozycji zadam jegomości i raptularz schowam, to idzie cicho do mojej pani i wypytuje się o słowo. Kobięta, zwyczajnie kobięta, nie dotrzyma molestacyom i wymknie się z sekretem, a wtenczas wojewoda tryumfuje, jakby doprawdy zgadł.

(*) Choćby cały świat się rozpadł, mężnego nie zachwieją ruiny.

(**) Na wieczną pamiątkę.

— A na cóż kobięcie powierzać tajemnicę, panuleńku?

— Ot widzisz, mopanie, jakże dotrzymać i nie pochwalić się przynajmniej przed żoną, gdy się co dobrego uda?

— Przyznaję, przyznaję, kochany bracie — mówił wojewoda — żeś gracz do zagadek; ale mów nam swoje tłómaczenie.

— No, to tak — rzekł stolnik odchrząknawszy i pokręcając wąsa:

„Choćby świat pękł, od czego uchowaj nas Panie!
Mężny, ufając w Boga, dostoi mopanie.

— Bravo! — zawołał śmiejąc się wojewoda. — Bravo! — zawołał wojski śmiejąc się także, i stolnik nakoniec sam się rozśmiał.

— A teraz jeszcze jedną zagadeczkę, mopanie wojewodo, i musisz sam swoje głowę pomęczyć, bo pani stolnikowej tu niema, a wapan, panie wojski dobrodzieju, nie mów, choćbyś się domyślił.

— Ale, bracie kochany, zapominasz o interesie, który cię tu sprowadza, a o którym wspólnie mieliśmy z panem wojskim pogadać.

— Nie zapominam, nie zapominam; będzie czas na wszystko.

— *Mosiur de Gumbi!* — zawołał.

— Co to jest, panuleńku? cudzoziemiec jakiś?

— *Mosiur de Gumbi!* — głośniejszym krzyknął stolnik, nie odpowiadając zdziwionemu gospodarzowi, a wojewoda się uśmiechnął.

Na to zawołanie wszedł do ogrodu i kroczył do altany stary pajuk stolnika.

— A toż poczciwy Jerzy! — rzekł wojski zdziwiony.

— A tak, mopanie, Jerzy Gumbia po naszymu, bo od wieków w mojej wiosce ojciec, dziad, pradziad i cała jego familia tak się nazywa; ale przez wzgląd na jego animusz zawsze hardy i figurę czupurną, a nawet wiedząc *ab inde ex antiquo*, że Gumbowie niegdyś z Palemonem do Litwy przypłynęli, nominowałem go był Rzymianinem Gumbiuszem; lecz teraz reformuję mój dwór po modnemu, *ad exemplum* mojego kochanego brata dobrodzieja pana wojewody — i tu ręką pokorny giest uczynił do kolan brata, który ponieważ przywiózł z sobą kamerdynera Francuza, to czémże gorszy mój Jerzy? Zatem fortragowałem go z Rzymianina także na Francuza i zwie się teraz *Mosiur de Gumbi*! Otoż, *Mosiur de Gumbi*, przynies mi waszec moją księgę z karety.

Śmieli się wszyscy, a Jerzy tymczasem przyniósł wielki foliał, w czarną skórę oprawny.

— No, słuchaj, mopanie wojewodo! — i otworzywszy księgę, czytał:

Z a g a d k a.

„Ulepiono mnie z gliny, jak ojca Adama;
 Palono mię w piecu, jak troje pacholąt;
 Jeździłem na wozie jak Eliasz;
 Zaprowadano mię jak Józefa;
 Z wnętrzości moich cały dom żywiłem;
 Po śmierci kości moich nie pogrzebiono.“ (*)

(*) Z dawnego rękopismu.

— Oho! — odezwał się wojski — to coś bardzo mądrego, panuleńku.

A stolnik podparł się w boki i patrzył w oczy wojewodzie.

Ten pokręcił głową i rzekł;

— Bravo, panie bracie! choć nie wierszem, ale bodaj że ta lepsza od wszystkich twoich dawniejszych; erudycya biblijna bardzo dowcipnie użyta; to *garnek*.

— Zgadłeś, mopanie, zgadłeś; ależ bo to jak łopata do głowy; no, teraz posłuchajcie wapanowie jeszcze rzeczy bardzo ciekawej.

— Ależ interes, kochany bracie, interes?...

— Co tam, interes nie uciecze; wapan gdybyś zaczął czytać swoje, toby końca nie było; a to nawet nie moje, ale że wielkie *mirabilia*, więc z podobnegoż raptularza pana Sulistrowskiego wpisałem we własny.

— Słuchamy, panuleńku, słuchamy—rzekł wojski. Stolnik więc czytał:

Antiquitates et Raritates,

*zabrane w Oczakowie, w skarbcu Cesarza
Tureckiego (*).*

1. Sznur perłowy od kapelusza Adamowego, który miał na głowie, gdy szedł po owoc do raju z drzewa zakazanego.

2. Kotarą, pod którą Ewa syna swego pierworodnego powiła.

(*) Z rękopismu tamtoczesnego: *Rzadkie pamiątki*.

Wojewoda i wojski śmiać się zaczęli; stolnik utrzymywał minę poważną.

3. Szmata Korabia, żagle i kordel z kotwicą, w którym Noe od potopu generalnego zachowany.

4. Koń, na stajni Cesarskiej w Oczakowie stojący, na którym Noe w tydzień po potopie Hajdamaków pędzał.

5. Płaszcz aksamitny Noego, nowy, którego zawsze w niedzielę na nabożeństwo używał.

6. Koło od taczek, któremi przy fabryce babilońskiej wożono cegły i wapno do wieży.

7. Peruka z włosów Matuzelowych, w siedmsetnym roku jego życia, z łysiny wypelzłych, osobliwszą francuzką fryzurą zrobiona.

8. Dudy cyprysowe, na których żydzi po wyjściu z Egiptu na puszcę, pod górą Synai, około złotego cielca skacząc, grali.

9. Krzesiwko stalowe, którem Jonasz prorok w brzuchu wielorybim, na ugotowanie i ogrzanie jedzenia, ogień sobie krzesił.

10. Trzy wiązki siana zostawione od Nabuchodonozora, których nie dojadł będąc wołem.... *et caetera similia*....

— Wyśmienicie! — zawołał wojewoda, śmiejąc się serdecznie razem z wojskim — pojechałbym o sto mil, aby choć jedną z tych osobliwości obaczyć, a bardziej jeszcze poznać wesołego człowieka, który to rejestrował, bo mu humor taki nie łatwo się dziś natrafi.

— A rychło i zupełnie zniknie nasz poczciwy humor szlachecki, mopanie — rzekł stolnik patetycznie i poważnie — rychło zniknie pod influencją téj obłu-

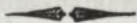
dnój i szlifowanej grzeczności teraźniejszej, która z modnym koperczakiem bierze za wyloty naszą wesołość, i jako niedelikatną i barbarzyńską jakby, za drzwi wypycha.

— Ale bo kochany bracie, ta wesołość bywa u nas najczęściej z dzbanem w ręku i chwiejąca się na nogach.

— Panie wojewodo dobrodzieju — odezwał się wojski — pijemy teraz, bośmy weseli; ale kiedyby przyszło na to, że będziemy pić aby być wesołymi, ot wtenczas będzie źle.

— Mopanie wojski! — zawołał z uczuciem stolnik — nas już wtenczas nie będzie na świecie! *Dulce mihi tecum vivere, tecum mori!* (*) i uścisnęli się starzy sąsiedzi i przyjaciele. Wojewoda stał zadumany.

— Proszę panuleńku, panów dobrodziejów do pokoju — rzekł nakoniec wojski — tam słuchać będę co mi w interesie rozkażecie.



IV.

Wyszli z altany, a wojski otworzył drzwi z ogrodu do budynku, i obadwa goście stanęli przed niemi.

Wojewoda wskazał ręką do stolnika aby wszedł pierwszy.

— A mopanie, senatorska godność!... i także rękę wyciągnął, a mówił to seryo; bo tu pokorą osobistą uznawał i podnosił zaszczyt domu i rodziny swojej.

(*) Słodko mi żyć z tobą i z tobą umrzeć.

— Bracie kochany, tyś najstarszy między nami... tyś głowa familii... porzuć ceremonie!....

— To nie ceremonie mopanie; *quod jure juste!*

— Niechże nas gospodarz rozsądzi — rzekł wojewoda.

Wojski, szukając trudnego między bracią wyroku, nic nie mówiąc, otworzył drugą połowę podwoi; więc wojewoda uśmiechając się wziął brata pod rękę i weszli razem obadwa.

Komnaty pana wojskiego stosownemi właśnie były do jego stanu i położenia w towarzystwie, a w swém wewnętrzném urządzeniu, nie występując daleko ze staroświeckiej prostoty, rzuconym jednak gdzieniegdzie wygodniejszym lub ozdobniejszym sprzętem, zdawały się zwiastować, że i do głowy gospodarza wciśkały się również nowsze a wybrane *bona ex malis* pojęcia, i przyswajały się do codziennéj praktyki, nie rugując wszakże starych, wrosłych w duszę jego i serce. Nie przewidywał on zapewne, że to fałszywe przymierze sprawdzi na koniec bajkę Ezopa:

Si me et turbae mea par esse potueris—cedam loco! ()*.

Pokój do którego weszli, obszerny i światły, od podłogi do okien szerokimi, biało pokostowanemi filungami był obfity, od nich aż do sufitu ściany pokryte obiciem w różne essay i floresy malowaném; a na głównej między oknami zawieszono wielkie zwierciadło, w szklanych kryształowych naśladowujących weneckie ramach, w fabryce Urzeckiej Radziwiłłowskiej odlane, która pięknych luster i pięknych kie-

(*) Jeżeli mnie i gromadzie méj zrównasz, ustąpię miejsca.

lichów dostarczała wtenczas na całą Litwę; pod niem, jakby na *memento* temu zbytkowi, umieszczony krzyżyk z figurą Chrystusa i przy nim dzwoneczek loretański. Pod tém wszystkiem stół pięknym kobiercem okryty. W kącie na półce zegar w złociściej filgranowej oprawie, pod nim na kruczku różaniec słoniowy; resztę nakoniec kąta zajmowała trzcina, podobniuteńka do téj na której stolnik się opierał; posadzka nawet dowodziła tego rozważnego wyboru wojskiego w postępowych modach; z gładkich tafel ułożona, czystością utrzymania zdobiła pokój, lecz nie lskniła się woskiem. — Wosk panuleńku, powiadał on, pracowite pszczołki robią na ofiarę Bogu, na światło do ołtarzów Pańskich, a nie pod nogi ludzkie, i na starość nie chcę tłuc nosa, jak mi to często za młodu ślizgając się po pokojach książęcych zdarzało się w Nieświeżu. Na ścianach innych wisiały rozmaite dawne i poczerńiałe obrazy święte, lecz między temi, z dwóch przeciwległych miejsc, dwaj hetmani w wydatniejszych kolorach i większych rozmiarach patrzali sobie w oczy — Jan Sobieski na jednéj ścianie, Michał Radziwiłł na drugiej, u obu buławy w rękach.

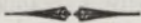
Nieraz nagabano pana wojskiego, za co portreta dwóch ludzi tak różnej zasługi i chwały, w jednym pokoju umieścił? — Dla kompanii, panuleńku, dla kompanii! — odpowiedział natenczas zbywając pytanie trudne do usprawiedliwienia; w rzeczy zaś samej Sobieski był tam od antenatów, a Radziwiłła przywiózł wojski z Nieświeża, jako swego pana i dobroczyńcę.

Dalszych szczegółów w mieszkaniu pana wojskie-

go opisywać nie będę. Opisy takie, których już nadużyto, i które nieraz czytelników znudziły, wtenczas tylko właściwemi być mniemam, gdy się przykładają i uzupełniają obraz malujących się obyczajów, lub wiążą z treścią powieści; tu z obu względów, com napisał wystarcza.

Wchodząc za gośćmi swymi pan wojski skinął na służącego, i szepnął mu słów kilka na ucho, a potem uprzejmie ich jakby nowo przybyłych w pokoju powitał.

— Siadajmyż — rzekł wojewoda — i produkuj panie stolniku naszą prośbę do szanownego gospodarza.



V.

— Umyśliliśmy, mopanie wojski dobrodzieju, prosić wapana na arbitra do kompromissu, przez który mamy ukończyć długi nasz proces z Brzostowskiemi....

Wtém wszedł służący, i tacę z butelką skorupą piasku powleczoną i trzema lampeczkami na stole postawił.

— Oho! znam! znam te butelki z kaczkowatym korpusem i żórawią szyją — zawołał stolnik, przerywając mowę o interesie i uśmiechając się wesoło; bo lubił czasami pociągnąć, zwłaszcza dobrego trunku — Mopanie, kapitalne to wino! warte senatorskiej gęby bracie, panie wojewodo. Żółta pieczętka, oho ho!

— Odkorkuj — rzekł wojski podając butelkę służącemu.

— Odkorkuj, mopanie, odkorkuj!

Non nisi pressa, dabit vitis generosa falernum. ()*

Wytlómaczże to panie bracie!

— A na co mam darmo głowę sobie suszyć, gdyś pewnie sam wytlómaczył, i równie dowcipnie jak pierwsze. No powiedz.

— Dobrze, — rzekł stolnik coraz weselszy — tak naprzykład:

Smacznego winka od czasów Zygmunta
Nie pokosztujesz....

I wskazując wyraziście palcem na butelkę, właśnie w tej operacyi będącą:

nie dobywszy szpunta.

Znowu się śmieli słuchacze.

— Nie bardzo wierny przekład z tekstem łacińskim, jak mi się zdaje — rzekł wojewoda.

— Tak, mopanie, jest to *licentia poetica*, ale widzicie *ad casum*!

— I jeżeli nie *falernum* — mówił wojski — to stary francuz, ręczę za to; — nalawszy lampki, dodał z grzecznym ukłonem: — Zdrowie wojewody dobrodzieja!

— Łączę się mopanie z panem wojskim i submituję się bratu dobrodziejowi, wojewodzie brackłowskiemu!

— Owszem, bracie kochany, wypijemy za zdrowie pana wojskiego, zacnego gospodarza.

— Nie, nie — zaprzeczył stolnik — to będzie po-

(*) Nie inaczej jak zgnieciona, da szlachetne wino jagoda.

tém, osobno na powinna gratulacyę, gdy się zgodzi być naszym sędzią; widzi brat, że i *inter pocula* (*) nie zapominam o interesie, o którym opowiedz wapan sam panu wojskiemu, ciągnąc to wyborne winko—*Deus me adjuvat!* (**)—dodał smakując z widoczną rozkoszą—*Deus me adjuvat!* ale to prawdziwie *laetificat cor!* (***)

Usiedli zatem wszyscy trzej około stołu z lampkami przed sobą, a pan wojewoda mówił:

— Proces to dawny, panie wojski dobrodziej, w którym jesteśmy stroną odwodową; trwa od nieszczęśliwej w kraju naszym wojny domowej, za Augusta II-go, rozpoczętej klęską Sapiehów i śmiercią jednego z nich pod Olkiennikami, a potem długiem rozdwojeniem narodu i plądrowaniem Szweda, do dziś dnia zapomnieć się niedającym, zakończoną.

W owych to czasach, dziad nasz, Jakób Ludwik na Baksztach Chomiński, starosta hubski i chorąży oszmiański, stanął jako chorąży na czele kilkuset szlachty swojego powiatu, łącząc się naprzeciw Sapiehów z Ogińskimi, a ponieważ Brzostowscy przeciwnie, z Sapiehami się połączyli, więc on pierwszym obozem z całą swą drużyną w dobrach Brzostowskich Michaliszkach (****) się położył i póty tam przebywał, aż wszystko zjadł do szczeretu. Gdy zaś już ani na polach, ani w szpichrach, ani w chlewach

(*) Między szklankami.

(**) Boże mię wspomagaj.

(***) Rozwesela serce.

(****) Michaliszki, w powiecie wileńskim, jeszcze do ostatnich czasów w imieniu Brzostowskich były.

nie nie stało, wyruszył natenczas na Żmudź, dla połączenia się ze starostą Kociellem i innymi sprzymierzeńcami Ogińskich, z którymi potem wspólnie i czynnie w batalii Olkienickiej stawał. (*)

— To mopanie był mąż dzielny, *tam in toga quam in sago*, a fortunat i dygnitarz!...

— Wiem, panuleńku, wiem — odezwał się wojewski — z akt powiatowych, które mi nieraz drabować przychodzi, że Ludwik Chomiński po uspokojeniu kraju był starostą sądowym oszmiańskim i potem pisarzem wielkim W. ks. Lit.

— Tak, to on, dziad nasz rodzeniuteńki, mopanie; pisał się on tylko na Baksztach, bo to była główna jego rezydencya; ale posiadał wiele dóbr innych i miał z czego réj wodzić.

— Po ukończeniu wojny — mówił dalej wojewoda — Brzostowscy o szkody swoje i straty w Michaliskach przyszli ze skargą na Chomińskiego do sejm; lecz nie było natenczas w porę stanom rozbierać i sądzić sporów prywatnych, gdy rzecz publiczna po tylu biedach troskliwości ich wymagała; odesłano więc Brzostowskich *ad forum competens* (**). I tego to *forum competens* szukając już od lat ośmdziesięciu i przeszedłszy nieraz grody, ziemstwa i trybunały, dotąd znaleźć nie mogliśmy. Na akta zaś inkwizycyjów i weryfikacyów całą szlachtę oszmiańską, jak na pospolite ruszenie do Michalisk sprowadza-

(*) Z pamiętników domowych rodziny Chomińskich; i w Nie-sieckim także.

(**) Do sądu właściwego.

my, aby wyznawała, wiele dziadowie i ojcowie ich zjedli tam i wypili.

Brzostowscy naliczyli sobie kilkakroć, dodając do *summa summarum* coraz nowe cyfry, za ekspensa prawne; my kosztów wojny domowej płacić nie czujemy się w obowiązku, zwłaszcza, że odpowiadając im i workiem i korkiem, dobrześmy tę kampanię szlachty oszmiańskiej opłacili. Wreszcie, pierwsi motorowie tej sprawy dawno pomarli; zaszły nadto między nami i domem Brzostowskich niejaki konnexye po Szczytach — ztąd ostygła zawziętość, a ochota do pieni w ogólności w kraju naszym, chwala Bogu, powoli zmniejsza się. Za pośrednictwem więc brata naszego, ks. biskupa, obraliśmy najlepsze i najwłaściwsze *forum*, sąd przyjacielski polubowny, którego wyrok raz na zawsze wszystko ukończy.

Idzie teraz o wybór osób, my z naszej strony podaliśmy pana wojskiego dobrodzieja, w nadziei, że nam tej obywatelskiej posługi nie odmówisz.

— A właśnie po wydaleniu się dziś brata na tu-tejszy parnas — rzekł stolnik, przybył posłaniec z Mosarza (*) z listem, w którym pan Brzostowski zgadza się chętnie na naszego arbitra, to jest w pana, panie wojski dobrodzieju, a za swego obiera pana Jerzego Sorokę, podczaszego oszmiańskiego, i razem proponuje, aby obrani arbitrowie sami sobie super-arbitra (**) obrali. Uważam w tém delikatność

(*) Majątek Brzostowskich, i dziś w ich imieniu, w powiecie dziśnieńskim.

(**) Prezydującego.

pana Brzostowskiego, i zdaje mi się, że wypada nam, mopanie, akceptować obie jego propozycje.

— Pana Sorokę? i owszem; znamy go dobrze — rzekł wojewoda.

— A ja szczególnie go weneruję i kocham za to, że kiedyś niemca ściał — dodał stolnik.

— Co to ma znaczyć, bracie kochany, niemca ściał? — zapytał zdziwiony wojewoda, rozumiejąc, że stolnikowi wino już w głowie zamieszało.

— Jakto, wapan tego nie wiesz, o czém cała Litwa wie i rozpowiada?

— Nie wiem, dalibóg nie wiem — odpowiedział wojewoda i patrzył na wojskiego, który uśmiechał się i wasa pokręcał.

Było to na dworze S***, na którym Soroka młodość swą przepędził. Był tam jakiś Niemiec, Bóg go tam wie, rezydent, konsyliarz, słowem do wszystkiego i do niczego, a nos w górę zadzierał jakby co dobrego, poniewierając dworskimi uczciwą szlachtą. Mienił się być jakimś kolligatem saskich Brüllów, być może że go dla tego książę na swym dworze cierpiał; zresztą księciu pochlebiał, a wszystkim dokuczał. Kilka razy zabierali się dworscy wyłatać mu skórę, ale mieli wzgląd na *decorum* dworu i tak dyssymulowali do czasu; lecz raz przebrał Niemiec miarkę, bo publicznie na pokojach wdał się w żarty z panem Soroką, mówiąc mu: *Waspańska nazwała się sroka, no to jedno so wrona.*

Soroka nie odpowiadając odwrócił się do księcia, i rzekł: — Żart tego cudzoziemca, mopanie...

— Czyż i Soroka ma przysłowie mopanie? — prze-
rwał uśmiechając się wojewoda.

— No, mniejsza o to mopanie: — ale Soroka rzekł do księcia — żart tego cudzoziemca jakiegoś, jest obelgą mojego szlacheckiego imienia, nie podlejszego od wszelkich innych; i darujesz wasza książęca mość, że tego mu płazem nie puszczę, bo wrzeczy samój byłbym wroną. Szanuję prezencją w. ks. m., bobym mu wraz zamknął gębę po naszymu, a przez wzgląd na to, że on tu razem z nami je chleb i doznaje względów w. ks. m., musi mi dać honorową satysfakcyę, choć nie wiem kto on jest, i czy wart ręki i szabli szlacheckiej? Jeżeli zaś książę na to nie zezwolisz, to najpokorniej dziękuję za łaski w. ks. m. pańskie dla mnie, i za chleb na który pocziwie i wiernie zasłużyć starałem się, i opuszczę z żalem dwór w. ks. m.; ale temu chłystkowi dam sto bizunów, tak mi Jezu dopomóż?—Wszyscy dworscy uścisnęli kolegę i wszyscy assystować mu postanowili.

Niemiec patrzył jak kozioł na wodę na perorującego Sorokę; nie mógł wszystkiego zrozumieć, choć szwargotał niby po polsku; a gdy mu książę wytłómaczył o co idzie, uśmiechnął się i odpowiedział, że gotów jest służyć panu Soroce, ale że się bije na tę broń tylko którą przy boku nosi, to jest na szpady. Rozumiał on, że tém odstraszy Sorokę, bo już dawniej często rozprawiał o swych pojedynkach, o swem mężtwie i swęj zręczności.

Ale nie na swojego trafił mopanie. Soroka odpowiedział — że każdy na swoją broń bić się będzie,

to jest, że on stanie z pałaszem i że pod tym warunkiem zgadza się na jego szpadę.

Książę tegoż dnia wieczorem wyjechał gdzieś w sąsiedztwo. Nie mógł on zaprzeczyć pojedynkowi, bo i szacował bardzo Sorokę, i po manifestacji oczywistej swych dworskich, poznał, że wszyscy mu podziękują za służbę, jeżeli Niemca protegować będzie; kazał więc tylko doktorowi nadwornemu, aby był obecnym pojedynkowi, dla ratunku w potrzebie, i aby cudzoziemcowi służył *per modum* za sekundanta, jeżeliby on sobie innego nie znalazł.

Nazajutrz więc rano, na wyznaczony plac wyjechał Soroka, a z nim cały dwór księcia, i przybył Niemiec z doktorem.

Znacie wapanowie pana Sorokę. Mąż co się nazywa! całą głową wyższym być może od pana wojskiego; dziś w poważnym wieku, nie jednegoby jeszcze fryca za płot przerzucił, a wtenczas gdy był młodym, toć był ozdobą dworu na którym przebywał. Niemiec zwątpił o sobie spostrzegłszy go i zbladł; ale sztuczka subtelna, nie stracił rozumu i w niebezpieczeństwie, tylko że chybił na planie przestraszenia adwersarza, a nakoniec tak on i mniemał, że nim Soroka się złoży, i jak tylko podejmie rękę, on go pchnie swoim różnem i przeszyje na wskrós.

Rozmierzono zatem mety, do których każdemu rejterować się można było, a tymczasem Niemiec dybył swojej szpady, dłuższej dobrze od krzywego pałusza Soroki. Opatrywał ją sam i pokazywał wszystkim jęć koniec ostry jak igła; potem zrzucił z siebie frak, więc Soroka zrzucił pas i koń-

tusz — on odwiązał chustkę z szyi, toż samo uczynił Soroka; a nareszcie dobył kródkę z kieszeni, przystąpił do Soroki, i kłaniając się grzecznie, niżeli ten mógł pojąć co on myśli, na gredutorowym czarnym jego żupanie krędą na piersiach serce namalował, mówiąc: — *Pan Soroka, ja tu bęzie pchał jak z pistoleta.... i wasan trup!*

— To ty mnie doprawdy chcesz zabić? rzekł Soroka.

— *A tak, tak, doprawdy zabił będzie, od razu jak z pistoleta.*

Soroka obróciwszy się do kolegów rzekł: — Pamiętajcie panowie te jego słowa, abyście i tu przed ludźmi i tam przed Bogiem byli mi świadkami!... A tymczasem niemce strzeż swojej gałki.... bo zleci!

— *So to gałka?* — zapytał Niemiec doktora.

— To głowa — odpowiedział ten — i pan Soroka ostrzega waszmości, abys strzegł swojej od jego pałasza; a razem dodał, że ma zlecenie od księcia, i sam, jako chrześcijanin, prosi wszystkich obecnych aby tę sprawę pogodzić raczyli.

Niektórzy z dworskich protestowali, że szpada Niemca dłuższa od pałasza Soroki; niektórzy uważając rezolucję jego i pewność z jaką cel nawet na piersiach Soroki wymalował, — a lichy go wie? — mówili — Niemiec a diabeł prawie wszystko jedno; pomiarkuj się panie Jerzy, może cię naszpikować.

Niemiec natenczas jakby od niechcenia rzekł: — *a może i pogozilem się jest.*

Soroka poskoczył do koni, wyrwał od jednego masztalerza kańczuk, a wróciwszy trzęsąc nim pod

nosem niemcowi. — Mopanie! — zawołał — Dobrze, zgoda! ale wprzód *centum bizunos accipies* na tym placu, a potem wyliziesz językiem tę białą plamę, coś ją na moim żupanie namazał, bo plama ta niezemszczona, została by na moim honorze i świadczyła by żem się uląkł. Czy zgoda?

Więc już nie było rady. Soroka porzucił bizuna a dobył pałasza i stanął w kroku. Niemiec rozciągnął ręce jak krzyż na rozstajnych drogach, i szpada mopanie poszła *de loco* z pałaszem, to jest, które z nich godniejsze być przy boku u ludzi. Nie łatwo jednak szło Soroce; odbijał on wprawdzie i skręcał zawsze sztychy tego diabła, ale jego dosięgnąć nie mógł, bo on szpadę i rękę trzymając wyciągniętą, był zawsze na dwa łokcie od pałasza Soroki; a stukał nogą, a hukał, a skakał, i śmieliby się spectatorowie, gdyby nie widzieli oczywiście, że koniec jego szpady bardzo często koło malowanego celu uwija się. Nakoniec niemiec raptem krzyknął i przypadł na jedno kolano, zbliżył się więc tak, że szpada jego dotknęła piersi Soroki i byłaby go przeszyla, ale tak silnie z góry po niej uderzył on, że aż ku ziemi spadła, a wtenczas w mgnieniu oka tak płytko i zręcznie pałasz po szyi Niemca puścił, że temu zdało się pewnie, jakoby go ktoś biczem po szyi świstnął.... nie podjął się jednak na nogi i tak trwał przyklęknięty.... a wtém skoczy Soroka, pęć go w pysk! i głowa na ziemi. *Ocknął się Holofernes, aż bez głowy!*

Wojewoda polegał ze śmiechu, wojski także.

— Co to za śmiech, mopanie? nie było tam

śmiechu! *Obstupuerunt omnes intentique ora tenebant* (*).

— Nie byłoby śmiechu, kochany bracie, gdyby to było prawda; czyliż sam pan Soroka to ci opowiadał?

— Nie, mopanie, *relata refero*; ależ przecie wszyscy toż samo i tak mówią.

— Nieraz — odezwał się wojski — i na długich *kondescencyach* (**) kolegując z panem Soroką, opowiadaliśmy sobie wzajemnie rozmaite kazusa, jemu na dworze księcia jenerała, mnie na dworze księcia hetmana w Nieświeżu wydarzone; naturalnie nie zapomniano się i o tym pojedynku z Niemcem, zwłaszcza, że chciałem dowiedzieć się prawdy, nasłuchawszy się wprzód takich, jakie nam pan stolnik uczynił, relacyj. Mogę tedy zaręczyć, panuleńku, bo pan podczaszy jest człowiek uczciwy a werydyk z natury, że on Niemca nie ściał; był wprawdzie pojedynek i *praeter propter* cyrkumstancye są takie lub podobne, ale Soroka ranił tylko szeroko po gębie Holca, tak się on nazywał, i chwając szablę, gdy ten zęby swe liczył po ziemi, rzekł: — „Za gębę, masz w gębę, i pamiętaj z twoim różnem na poczcziwy pałasz nie porywaj się, szołdro ty jakiś!“

Dworscy cieszyli się z upokorzenia presumpcyi cudzoziemca i z tryumfu kolegi, a Holc, przeleżawszy

(*) Oslupieli wszyscy i z otwartemi usty stali.

(**) *Kondescencya*, w prawniczym języku dawnym znaczy sąd zjazdowy.

ruski miesiąc, ze skrzywionym pyskiem opuścił dwór księcia.

— Za cóżby, mopanie, pan Soroka po téj akcji musiał się rejterować do Tureczyny i czekać tam żelaznego listu? a pono aż w Konstantynopolu się oparł, i to konno, mopanie, konno!

— Pomieszano jedno z drugim, panuleńku. Soroka w lat kilka później miał drugi pojedynek, na tymże samym dworze, o którym jeżeli kiedy zdarzy mu się wspomnieć, to zawsze z ciężkim żalem, a nawet ze łzami w oczach. Wyzwany przez Szwykowskiego, młodego człowieka rezydującego na dworze księcia, musiał strzelać się z nim tuż na miejscu, gdzie się pokłócili, to jest w stajni, przy koniach. Napróżno zaklinał go Soroka, aby się upamiętał, napróżno błagał o zwłokę, przekładał potrzebę świadków; Szwykowski stanął ode drzwi z pistoletem w rękę, i najobelżywiej go traktując, odgrażał się strzelić doń, jeżeliby odmawiał pojedynku. Soroka dotąd zgadnąć nie może przyczyny takłej nienawiści, dość, że musiał wziąć pistolet w rękę. Wtenczas Szwykowski kazał jednemu z kuczerów komenderować; raz, dwa, trzy! co gdy ten drżąc ze strachu wymówił, strzelili razem i Szwykowski padł ugodzony w piersi, lubo podczaszy Bogiem się świadczy, że nie mierzył nawet. Takie już to były sądy Boskie! Otoż wtenczas Soroka musiał uciekać z kraju, bo familia Szwykowskich możną jest na Litwie. Książę, przekonany o nie-

winności jego, dla zapewnienia swobodnego szlaku dał mu pisma do Konstantynopola, i prawda, zajechał on aż na miejsce konno; ale to nie wielki dziw, bo tam inaczej podróży nie odbywają. Potém, panowie Szwykowscy, ludzie zacni i sprawiedliwi, przekonawszy się, że kolligat ich zmusił niejako Sorokę aby go zabił, zaprzestali kroków prawnych, a książę wyrobił u króla i przysłał mu list żelazny, za którym wrócił on do kraju; lecz już porzucił dworszczyznę, która mu się tak nie powiodła i osiadł we własnym domu. Odtąd służy braciom jako godny obywatel i sprawiedliwy a mądry urzędnik; więc winszuję tego wyboru panom Brzostowskim, i moim dobrodziejom życzę, panuleńku, abyście go śmiało za arbitra akceptowali.

— To i akceptujemy — rzekł wojewoda — ale też, wojski dobrodziej, racz nam także nie odmawiać swęj łaski i fatygi, a zasiąść w tym kompromisie ze strony naszej.

— A, panuleńku, panie wojewodo dobrodziej, taka usługa nie odmawia się nikomu, choćby obcemu nawet, a témbardziej łaskawym sąsiadom i przyjaciółom. Bodajby mi tyle aniołów przy śmierci, ile razy sądem polubownym udało mi się położyć koniec długim processom, a nawet po dekrete, od którego nie było apellacyi, zawziętych nieprzyjaciół do zgody świętej nawrócić.

— To zasługa przed Panem Bogiem, mopanie: Błogosławieni pokój czyniący — rzekł Stolnik — wszyscy to znamy; bo chociaż prawdę mówiąc, prawuję się częstokroć byle prawować się. Ja sam mam z pięć aktoratów dla *rekracyi*, ale mamy i

przysłowie, że *lepszą zgodą tyczana, jak proces rzemieenny*; dla tego konsyderujemy zwłaszcza takich, którzy jak wapan panie wojski są biczem na pieniaczów, chociaż skrzynka wapana pisarska na tém cierpi.

— Więc kochany bracie — rzekł wojewoda — odpisz panu Brzostowskiemu, że się zgadzamy na wszystkie jego propozycje, i zostawujemy jemu samemu oznaczenie terminu.

— Ale panuleńku — odezwał się wojski — jest jednak trudne *impedimentum* dla nas obu z panem podczaszym, wybrania sobie superarbitra prezydującego; materya delikatna; weźcie to państwo *ad deliberandum*.

— Zapewne — rzekł wojewoda — lecz zdaniem mojem, nie wypada nam zaprzeczać temu, przez co Brzostowscy chcą widocznie dać poznać swoje umiarkowanie i swoje zaufanie w arbitrach. Ułoży się to jakoś panie wojski dobrodzieju, a tymczasem dziękujemy ci serdecznie i....

— Wypijemy twoje zdrowie, mopanie! — kończył stolnik — jako naszego już sędziego, niosąc ci razem gratulacyę, żeś na ten sejmik nasz dał *afirmative*. Prócz tego mam niektóre *dubia* względem tego wina — mówił dalej podejmując próżną butelkę — a jednak jest to *res magnae importantiae* co do wieku, a zatém waloru i cnoty jego. Bo jeżeli pieczętowane Kościeszą, to jest herbem twoim, mopanie, to sam i wiesz metrykę jego; ale jeżeli go nabyłeś z cudzym sygnetem, to znowu co innego.

— Nie pamiętam dobrze, panuleńku — odpowiedział

wojski, śmiejąc się razem ze swemi gośćmi — nie pamiętam dobrze, ale przyznaję, że tę ważną kwestyę dojrzałe rozważyć należy.— I rozkazał przynieść drugą butelkę.

— A może to mopanie potrzeba będzie dołączyć do rejestru tych *raritates* i *antiquitates* Oczakowskich; może to wino którym się Lot upił, gdy go te błaźnice, jego córki, potraktowały!

— Do czegokolwiek doprowadzi nas ten mądry twój egzamin, proszę cię jednak bracie, aby się na téj drugiej butelce skończyło — rzekł wojewoda; i gdybyś podług swego gościnnego we własnym domu zwyczaju, i tu nie wyjechał z ulubioną swą sentencją: *Omne trinum perfectum*.

Uśmiechnął się stolnik i pomyśliwszy chwilkę, rzekł: — No, daję słowo mopanie, że jój dziś nie użyję.

— Chwała Bogu! przynajmniej na wpół tylko pijani wyjedziemy.

Przyniesiono butelkę, Pan stolnik zapomniał rozpatrywać herbu na korku. Ale gdy z nalaną lampką powstał wojewoda i rzekł:

A więc zdrowie twoje kochany nasz wojski dobrodzieju!

Stolnik własną do ust podnosząc i wskazując na pełną także w ręku wojskiego, zawołał:

Protinus ex illa, vita tua renata sit! ()*

— Bravo kochany bracie! bravo! — zawołał także i wojewoda — zgodne z sercem naszym twe życzenia.

(*) Bodajby z téj (szklanki) życie two odnowiło się.

Wojski dziękował czule; szczerosć i serdeczność obudzona winem, a zwykle u nas w takim razie na jaw wypływająca, zwilżyła już ich źrenice.

— *In prosperis et adversis* (*) sługa wasz panu-
leńku na zawsze! — mówił on ściskając ręce obu;
lecz gdy ze stolnikiem złączył prawicę, ten wstrzą-
sając ją mocno:

— *Quae male juncta perit, quae bene juncta fe-
rit!* (**) rzekł: a że nasze dłonie, mopanie wojski,
testis est Deus sunt bene juncta, więc trwać będą
teterrimo cultu, in soecula soeculorum.... (***)

— Amen! — dodał wojewoda, przykładając swą rę-
kę do dwóch złączonych; — i śmiało powiedzieć mo-
żna, że trzy prawdziwie sobie życzliwe złączyły się
dłonie.



VI.

Szklanki za zdrowie wychylono duszkiem, i nalano
drugie, które powoli wśród miłej konwersacyi ciągnąć
się miały.

— Zkąd u licha, kochany bracie panie stolniku
nauczyłeś się tylu i tak stosownych do każdego zdania
sentencyj? — zapytał wojewoda.

— A już to pewno, nie na waszém *Abreże*, nad
którem mię męczyć niegdyś chciano, a z którego

(*) W szczęściu czy przeciwnościach.

(**) Złe złączone ginie, dobre złączone zwycięża.

(***) W najszczęśliwszej czci na wieki wieków.

mi nie chwała Bogu do głowy nie wlażło. Sentencye mopanie, każdy statysta, każdy orator, każdy moralista w głowie mieć powinien; bo jedną dobrze użytą, dowodnięj przekonasz, niżeli długą legendą słów próżnych. W każdój jest nauka, jest mądrość przez najtęższe głowy wyprobowana. To jak dryakiew, mopanie; kiedy ją zadasz uczciwie a regularnie, wraz się cyrkulacya myśli regularnie i w głowie rozwidnia. A u wapanów teraz co? *vox, vox, preterea nihil*. Wapan sam, panie wojewodo, kiedyś króla jadącego do Kaniowa witał w Pińsku, napisał mowę po swojemu wyborną, ale że odemnie żadnej do niej nie pożyczyłeś sentencyi, lubom ich kilka natenczas po bratersku i *gratis* wapanu nastreczał i dawał, to i nikt téj pięknej oracyi nie pamięta. Król jegomość, wielki orator, w odpowiedzi wapanu, rzucił kilka słów i po łacinie, ale my poznaliśmy że to była jałmużna z łaski pańskiej, *moribus antiquis*, i nam kontuszowym ich zwolennikom rzucona.

Przerwał ten dyskurs pana stolnika tentent konnego na dziedzińcu, wojski spójrzawszy przez okno:— to daleki posłaniec — rzekł; po czujce i kapiszonie poznaję, że ze szlachty Wybranieckiej *Nieświeżskiej*, bo ich zawsze kilkunastu miałem pod swoją komen-dą na zamku, na posyłki (*).

Jakoż wszedł posłaniec i oddając wojskiemu list:

(*) Szlachta Wybraniecka; tak zwana, składała wielkie osady w dobrach ordynackich Radziwillowskich: z niej formowała się milicya nadworna książęca, a potem pełniła służbę w zamku, na posyłki i t. p.

— Od księcia pana—rzekł.

Odpieczętowane pismo było w tych słowach:

„Mnie *Wielce Mości panie Wojski oszmiański, mnie wielce Mości panie i kochany bracie! Pełniąc ostatnią usługę zeszytym z tego świata ś. p. Jasnie ośw. Księżnie Jejmości hetmanowej wielkiej W. Ks. Lit., matce mojej, i Jaś. Ośw. Księciu Jegomości podkomorzemu, bratu mojemu, postanowiłem cięła onych z przyzwoitą okazałością złożyć w grobie przodków moich, przy kościele farnym tutejszym, a razem odnowić pamiątkę i żałobne nabożeństwo po ojcu moim, JO. Księciu hetmanie w. W. Ks. Litewskiego (*) i wojewodzie Wileńskim—na którą smutną uroczystość, dnia 20-go następującego miesiąca czerwca zaczynającą się, gdy wszystkich domowi mojemu sprzyjających zapraszam, nie mogę pozostać bez zanieśienia usilnej prośby, w szczególności do W pana, jako zdawna ku mnie przychylnego, ażebyś ku ozdobie tego aktu i zaszczytowi spodziewanego zgromadzenia, na przerzeczony termin, do Nieświeża zjechać raczył. Czekać będę z otwartem sercem, z gruntu onego wyznający się etc. Z Nieświeża, 15-go maja 1787 roku.“ (**)*

Przeczytawszy, wojski wzniosł oczy na portret i długo nie zwodząc zeń oka patrzył, otarł łzę, potem usiadł w milczeniu przy stole.

(*) Michał Radziwiłł, hetman wielki W. Ks. Lit. i wojewoda wileński, umarł w r. 1763. Wspaniały obchód pogrzebowy odbył się tegoż roku 6-go maja, a przy złożeniu w grobach familijnych zwłok matki i brata, książę Karol odnowił nabożeństwo i po ojcu.

(**) Z oryginału.

— Obchód to będzie wielki i wspaniały—rzekł wojewoda.—Jadąc tu, wstąpiłem do księcia Karola; widziałem listę zapraszać się mających gości; ledwo nie tyle będzie, co przed dwóma laty na przyjęcie króla; na téj liście jesteś i ty, bracie; mnie ustnie zaprosił książę i obowiazał nawet, abym odezwał się ze wspomnieniem cnót ojca jego, w imieniu trybunału Litewskiego, którego on był w swoim czasie ramieniem i tarczą. Od stanu rycerskiego przemówi pan Mikołaj Łopaciński, wojewoda mściśławski.

— O! wart szczerego wspomnienia ten pocziwy bogobojny a wspaniały pan — mówił wojski — wart; nie wojował on wprawdzie, choć hetman, bo nie było z kim; święty pokój panował w naszym kraju za jego hetmaństwa; ale pewny jestem, że w potrzebie nie żałowałby krwi swojej.

Posłaniec, na którego nie uważano, stał jeszcze przy drzwiach.

— Idź waść, wypocznij—rzekł więc doń wojski—jutro dam rezolucję.

— Powiadano mi — odezwał się ten — wyprawiając z Nieświeża, że tu gdzieś blisko mieszka i pan stolnik Chomiński, do którego mam list także.

— A tom ci jest, mopanie; oddaj więc list.

Szlachcic podał list, który w treści był taki sam, jak i do wojskiego.

— Gotujże mowę, mopanie wojewodo — rzekł stolnik — termin niedaleki, ledwo dwa tygodnie.

— Zacząłem już pisać—odpowiedział wojewoda.

— A ja wapanu mogę skutecznie dopomodż; mam w mojej księdze kilka gotowych takich a wyśmienitych oracyów; wybierz którąkolwiek, przerobisz tyl-

ko trochę *ad casum*.... ot, zaraz i przeczytać możemy. Gumbiuszu! przepraszam, *Mosiur de Gumbi!* przynieś mi z altany mój raptularz.

— Zabierz i moje razem książki i papiery — dodał wojewoda.

Już to po trzeciój, lampeczce starego winka spelniali goście z gospodarzem; pot występował na czoło każdego, gdy *de Gumbi* przyniósł i na stole położył papiery wojewody i księgę stolnika.

— No, otoż masz, mopanie; wybieraj *ad libitum*.

— Cóż mi po tém, kochany bracie, powiedzą, żem *ex libro doctus*... i tam dalej.

— Oho, ho! po łacinie przecie; ale bądź wapan spokojny, o wapanu tego nie powiedzą, bo przecież *fama publica* głosi, żeś mądry i że nie potrzebujesz cudzej głowy; więc tém cięższy przyznają wapanu rozum, że obosieczny i po modnemu i po staroświecku; a książę *panie kochanku* pewnie bardziej rad będzie, że o jego ojcu takim samym sensem mówić będziesz, jakim on za życia przemawiał.

— Panuleńku! — odezwał się wojski — ile znamy księcia Karola, stolnik trafił na prawdę.

— A przecież—rzekł wojewoda—w obu do was liściach, ani jednego łacińskiego słowa niema.

— To ten kanalia Mikuć (*), sekretarz księcia; niedawno wyszlachcił się, mopanie, i już pańskim stylem pisze, a książę nie czytając podpisuje; dam

(*) Mikuć, włościanin Radziwiłłowski, którego król w czasie swjej bytności w Nieświeżu nobilitował — sekretarz księcia Karola.

ja jemu, jak przyjadę do Nieświeża... — Tymczasem przerzucił karty swęj księgi i rzekł: — Oto masz, mopanie, naprzykład: *oratio funeralis*—i czytał deklamując:

— „Ma to nad inne wszelkie nieszczęścia *fati acerbitas* (*), że się żadnemu ukoić nie da remedyami. Nie szczerze ten żałował, kto żałować przestał iży tylko na popis bystrym płynęły pędem, które na smutnych osychając jagodach, nie oparły się na sercu, aby jeno nowym odwilżały się żalem. Są *adversa*, które uleczyć się dadzą i z czasem niszczeją, albo *medicamentis* sekundowane być mogą; lecz *factorum cicatrix* nieuleczona, i komu raz *venenata* zaszkodzi *mortalitas*, by się na to wszystkie wydestylowały aforyzmy, skutecznego nie wymyślą *remedium*! i dla tego wielką stratę rzadko równy żal opłakać potrafi, choćby się w obfitą łez przemieniał krynicę! choćby się każda żrenica we łzę, a każda łza w żrenicę przemieniła!“—No, tu dalibóg wszyscy płakać powinni.... a wapan śpłsz, mopanie wojewodo!—zawołał stolnik i rozśmiał się.

— To nic bracie! to nic; skutek to gościnności kochanego wojskiego i twojēj ochoty; wino mocne....

— Ale zdrowe, zaręczam panuleńku.

— Oto mopanie nowomodne głowy, od kilku kropel już śpią!... Mopanie wojski! *omne*....

— Bracie, a słowo?—przerwał wojewoda.

— Prawda mopanie, prawda! nie powiem tego, nie powiem.... mopanie wojski: *Boh trojcu lubit!* A widzisz bracie, dotrzymuję słowa.

(*) Z dawnego rękopisu.

— Wybornie, nie przewidziałem tego — odpowiedział śmiejąc się wojewoda. — Ale ja nie dotrzymam wam placu, bo gwałtem oczy się kleją, i nie będę mógł użyć pięknego wieczoru, powracając piechotą, jakem to sobie obiecywał.

Mamy karete mopanie, więc niema niebezpieczeństwa, bo któryż wojewoda piechotą chodził o pół mili? W żadnych kronikach takiej pokory czy postpozycyi senatorskiej godności nie znajdziesz. Że zaś widocznie nie aprendujesz mojej oracyi, przeczytajże nam własną; mówiłeś żeś ją zaczął już pisać; pewnie masz ją tu w swoich papierach, bo *omnia tecum portas*; (*) będziemy komparować obie.

— Cóż mam czytać? początek tylko? — rzekł wojewoda, a jednak przerzucał papiery.

— *Exordium*, mopanie, *exordium* wiele znaczy; wprowadzie *finis coronat opus*; (**) ale też *dimidium facti habet qui incipit*. (***) A nakoniec mopanie, ja wapana mojem *exordium* uśpiłem, więc mam prawo wzajemnej braterskiej żądać usługi. Pan wojski będzie czuwać za nas obu, i rozsądzi *merita* naszych oracyj; znowu go za arbitra obieram.

Wojewoda wynalazł swoje *exordium*, nie dla komparacyi wszakże, na którą go brat wyzywał, lecz z tejże samej żądzy deklamacyi własnego pisma, (którą niech Bóg wszystkim autorom odpuścić raczy), z jaką i sławny monolog Teramena deklamował; biorąc się więc do czytania, — ja tak zaczy-

(*) Wszystko masz z sobą.

(**) Koniec wieńczy dzieło.

(***) Połowę zrobił, kto zaczął.

nam— rzekł: „Gdy mi przychodzi w imieniu najwyższej w kraju tym magistratury, przemówić na tym smutnym obchodzie pamiątki zmarłego przed dwudziestu kilku laty wielkiego w narodzie męża, znając nieudolność moję, pojmuję jednak razem, że jeżeli czułość żalu z doskonałego utraty poniesionej rozważenia wzrost biorąca, szerzyć się i jątrzyć w tych umysłach zwykła najboleśniej, które jak przytomnego dobra wielkość szacować najprzyzwoiciej, tak z pozbytego szkodę najsluszniej zmiarkować mogą— to zaiste, wyćwiczona w rozeznaniu krzywd sprawiedliwość, w zejściu JO. księcia wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego W. ks. L. nieodżałowanym i po dziś dzień najżywiej dotknięta być się znalazła żalem. Taż sama albowiem sprawiedliwość, która dostojności powagi i praw swoich, gruntownie utrzymaną całość, jego przeważnym staraniom znając się winną, która świątynię swoją z jego nieustannej troskliwości i z jego wyboru ludźmi zdolnymi osadzoną być widziała, wiekowi jego przeciąg najdłuższy przysądając, łała jego mnóstwem dzieł dla dobra pospolitego najzbawienniejszych liczyć miała nadzieję. Ale to wszystko z powszechną żałobą zawodny zniszczywszy wyrok, najsprawiedliwsze chęci najdotkliwszą zasmucił niewzględnością. Wszakże, próżna już dalsza skarga, daremne narzekanie! I twoje, JO. książę wojewodo, synu, wnuku i prawnuku wojewodów wileńskich, łyzy rzewne a obfite, tak świeżym z przezacnego domu twego wydartym ofiarom, jako i pamiątce ojca twego poświęcające się, nieodwołalnej nie wrócą straty, i jeden nam tylko, ale publicznego oświadczenia godny, do leczenia

smutku pozostał dług i sposób, wyznać, że sprawiedliwość nasza miała za co być mu wdzięczną, i że wdzięczność nasza ma w czém być jemu sprawiedliwą!

Pod ogólném sprawiedliwości imieniem, dwa jéj rodzaje być rozumiem; szczególną jedną, która w samém sercu ludzkim zamknięta, chęci wszystkie, a z nich postęпки wszystkie doskonale rozrządza, drugą, powszechną, która dla wszystkich otwartą będąc, a do rządu krajów i uszczęśliwienia ich należąc, pomocne sobie sprawy między najmiłsze ojczyźnie policza zasługi. Nierozdzielnie te obie w zeszłym księciu złączone były; na pierwszém ich strzeżeniu polegały cnoty; wielkiemu mężowi najprzyzwoitsze; na drugiej utrzymywaniu zasadzała się gorliwa kraju miłość, pierwszemu w kraju urzędnikowi najwłaściwsza“ (*).

— Oto mój wstęp—rzekł wojewoda.

— A widzisz wapan, że ja nie śpię. Sądźże teraz, panie wojski, coś tu u pana wojewody *est, est, sed non vult exire* (**).

— Owszem, panuleńku, panie stolniku dobrodzieju; widać wraz z początku, że orator ma zamiar dowieść, że zesły książę posiadał i domowe i publiczne cnoty, których zasadą była sprawiedliwość, i znacznie, że szczerze jest przekonany o tém co mówi, że nie myśli, aby się pochwalić tylko własną retoryką, pochwytaną zewsząd, ale chce przekonać *publicum* o prawdziwej zasłudze zmarłego.

(*) W rękopisie ówczesnym ten tylko wstęp znajduje się.

(**) Jest, jest, ale wyjść nie chce.

Taka mowa, panuleńku, może nie wzbudzi wielkiego płaczu, ale treść takiej mowy zostanie w pamięci ludzkiej, a razem cnoty zeszłego i chwała mówcy.

— To taki twój wyrok, mopanie wojski? oracya moja poszła pod ławę! ale wybaczej, niema na to zgody — rzekł stolnik — bo pamięć ludzka tak jak rzeka, *sicut fluvium*, tam się tylko zatrzymuje, gdzie ją palami spoprzeczysz. Otoż łacińskie słowa jędrne, mopanie, są to pale, na których zaczepia się i zatrzymuje myśl nasza, a bez których unosząc wszystko, co kto na nią rzuci, płynie i płynie *ad mare aeternitatis* (*).

— Prawdziwie, bracie kochany, coraz wymowniejszym jesteś; czy to nie winko pana wojskiego takie wyborne robi skutki?

— A naturalnie, mopanie, naturalnie! ot tak jakoś rażno i wesoło, że aż miło drugiemu.. — Stolnik pokręcał wąsa—choć do tańca, mopanie! i wapan panie wojewodo, gdy tę jeszcze lampeczkę, która stoi przed wapanem nie zaczęta, spełniesz....

— Jakto nie zaczęta? — zawołał zdziwiony wojewoda i ujrzawszy w rzeczy samej pełną swą lampkę, którą wojski nieznacznie w czasie czytanego *exordium* dolał — to będzie nadto... — lecz mu nie dał dokończyć stolnik, wykrzykując:

— Ej! niech żyje nasza staroświecka poczciwość i cnota, mopanie wojski, wypijemy jak prawdziwi przyjaciele!

(*) Do morza wieczności.

*Amicitia benigna,
Deorum digna! (*)*

A kto nie wypije, ten....

— Nie kończ, panie bracie, nie kończ! — prze-
rwał wojewoda i wypił.

— Bravo! — zawołał stolnik — bravo! *Vivat* woje-
woda braciowski! *Vivat!* — krzyczał zacierając z ra-
dością ręce — *vivat tutamen et decus* (**) domu na-
szego! Obaczysz, mopanie, obaczysz, jak ci i śpiącz-
ka ta przejdzie i wena zaraz popłynie, jak wnet
mógłbyć *currente calamo*, za jednym zamachem na-
pisać naprzykład panegiryk sprawiedliwości hetma-
na, a waleczności.... sędziego trybunalskiego.

— Rozumiem — odpowiedział wojewoda uśmiecha-
jąc się — ale przypomnij sobie, że ja mam mówić
w imieniu trybunału, to jest w imieniu jurydykcyi
sądowniczej; a tém trudniej będzie zapewne mówić
o męztwie, gdy żadnej zeszły hetman nie miał zrę-
czności dania swego męstwa próby. Ot, gdyby mi
przyszło mówić o tym hetmanie — rzekł wskazując
ręką na Sobieskiego — obaczyłbyś bracie, czy umiał-
bym godnie sławić bohatera! — Tu wstali wszyscy
trzej i wpatrywali się w portret....

— A wlecież wapanowie, jakie jemu *Elogium* po
zwycięstwie wiedeńskim na kolosie tryumfalnym
w Rzymie napisano? — zapytał stolnik.

— Pierwszy raz o tém słyszę — rzekł wojewoda,
bo ubior cały hiszpański z litój materyi, perłami

(*) Przyjaźń miła,
Bogów godna.

(**) Tarcza i ozdoba.

bogato naszywanój, i kapelusz także hiszpański, sznurem wielkich pereł obramowany, a przy nim kord z brylantów, przysłane naówczas przez papieża Janowi III-mu, widziałem w skarbcu Nieświężskim.

— I każdy z nas to widział panuleńku; ale o tym kolosie i o *Elogium*, nie słyszałem, i nie wiem.

— A ja wiem, mopanie, i napis ten wapanom przeczytałem.

— Więc masz go w księdze twojej? A to nieoszacowana ta twoja księga, kochany bracie, czegoż w niej niema?

— Jest, jest w niej wiele rzeczy, o których nie wiecie, a successorowie moi znajdują w niej kiedyś i naukę i zabawę, *utile dulci*, mopanie! Otoż słuchajcie. *Grandibus* i *Aureis litteris* tak było, czytał:

„*Joanni tertio! Electione Polonico et Lithuanico: libertatione Austriaco, Pannonico, Profligatione Othomanico, Thracico. Scythico, Religione Christianissimo, Pietate Catolico: Zelo Apostolico. Inter Duces bellicosissimo, inter Reges sapientissimo, inter Imperatores Augustissimo—Cui gloria militaris regnum peperit, Clementia stabili, meritum perennavit. Qui raro pietatis et constantiae exemplo propria deserens, docuit quo pacto federis jura ineantur, custodiantur, compleantur. Othomanicam lunam fulgentissimo Crucis vexillo aeternam Ecclipsim minitantem, adeo prospere feliciterquee Christianorum finibus eliminavit, ut unum idemque illi fuerit: venisse, vidisse, vicisseque. Inter in numeros igitur Christiani orbis plausus:*

inter vindicatae religionis et Imperii laetitiam: inter cruenta lunae extrema deliquia, agnoscant praesentes, credant posterī! Non tantum enascenti Evangelio quo promulgaretur; sed et adulto ne profligaretur, utrobique a Deo, missum fuisse, hominem, cui nomen erat Joannes ()*.

— Czy uważacie wapany — mówił stolnik przeczytawszy — jak to na końcu mądrze i głęboko wzięto: że dwóch Janów Bóg zesłał na świat. Pierwszego aby Ewangelię ogłaszał, a drugiego by ją obronił. *Utrobique*, to znaczy z obu końców Ewan-

(*) Janowi trzeciemu, wybraniem polskiemu i litewskiemu (a), oswobodzeniem austriackiemu, panońskiemu, zwycięstwem ottomańskiemu, trackiemu, scytyjskiemu, religią arcychrześcijańskiemu, pobożnością katolickiemu, gorliwością apostolskiemu, między wodzami najwaleczniejszemu, między królami najmądrszemu, między monarchami najwyższemu, który chwałą wojenną królestwo odrodził, łaskawością i zasługą utwierdził, który rzadkim cnoty i stałości przykładem własny kraj opuszczając, nauczył jak się przymierza wiążą, zachowują i spełniają. — Księżyc ottomański wiecznóm zaćmieniem jaśniejącej krzyża chorągwi grożący, tak szczęśliwie z granic chrześcijańskich wygnał, że jedno i toż samo było przyjść, widzieć i zwyciężyć, wśród niezliczonych, więc świata chrześcijańskiego oklasków, wśród radości dzwignionej religii i cesarstwa, wśród ostatecznego krwawego księżyca upadku. Niech znają współcześni, niech znają potomni! że nietylko dla rodzącej się Ewangelii ogłoszenia, lecz i dla obrony dojrzałej, w obu czasach (*utrobique*) posłany był od Boga człowiek, któremu było imie Jan.

(a) Układający ten napis, daje Sobieskiemu przydomki na wzór Rzymskich, Scipio Africanus i t. p.

gielli, i kiedy myślałem nad wytlómaczeniem tego po polsku, to te *utrobique* najtwardsze mi było.

— Piękna historyczna pamiątka, dobrze żeś ją wpisał—rzekł wojewoda.

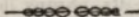
— Jest tu wiele takich mopanie—mówił on przewracając karty swęj książki.

— Ot może chcecie to wam przeczytam o *cudach świętego Cypryana*. Albo bardzo ciekawą historię o pewnym żydzie, który żył za czasów pobożnego cesarza *Justyniana*, i odkrył wszelkie tajemnice zatwardziałej niewierności żydowskiej. Albo może co weselszego wierszem, na przykład: Respons damy piętnastu kawalerom....

— O panuleńku, to już pewnie fikcyja poetycka!—rzekł wojski. — Jak świat światem nigdy zdaje mi się piętnastu razem konkurentów do jednej nie bywało.

— No, to może opisanie pielgrzyma, który przeszedł wszystek świat...

— A na miłość Boga! kochany bracie — przerwał wojewoda — nim tę wędrowkę odbędziemy, to dnia i nocy nie stanie; przejdźmy wolęj, za pozwoleniem pana wojskiego dobrodzieja, na ganek, ochłodzimy się nieco, a potém go pożegnamy.



VII.

Ganek pana wojskiego wkłęśły wewnątrz domu, kratką zagrodzony, z wygodnemi ławkami do siedzenia, umyślnie zdawał się być urządzonym na to, aby gospodarz po pracy mógł wieczorem oglądać zeń całe swe mienie, i dziękczynnemi paciorkami dzień kończyć: taki właśnie był zwyczaj pana wojskiego.

Gdy usiedli na ławkach, milczenie trwało przez czas niejaki.... Wojewoda nieco winem rozmarzony, poglądając na piękny zachód słońca, którego ostatnie promienie padając na staw, szeroko ozłacały wodę, to na gaje za stawem rozlegające się, w *poetyczném* czy w *polityczném* zdawał się być zadumanu....

Stolnik wychodząc na ganek popuścił pasa, pokręcił wężem i poważnie rozparłszy się:

— *Mosiur de Gumbi*, podaj mi fajkę! — zawołał. Miał ją zawsze na pogotowiu *de Gumbi*, podał więc nałożoną knastrem i na długim cybuchu osadzoną. Wziąwszy ją w usta, stolnik czekał patrząc na Gumbiusza; ten dobył z kalétki krzesiwko, hubkę na skałce położył, podniósł rękę.., i spojrział na pana....

— *Czynk!* — zawołał stolnik—skry się sypnęły!....

— *Na zdrowie waszeci!* — rzekł Gumbi, kładąc zapaloną hubkę na knastrze.

Wnet gęste kłęby dymu rozwinęły się około oblicza stolnika i coraz dalej falowały się w spokojném powietrzu... i myśl jego w rokoszném jakimś upojeniu na falach dymu swobodnie i mile kołysać się zdawała....

Wojski milczał także, sam nie wiedząc dla czego; chciał on koniecznie, jako gospodarz, rozpocząć jakikolwiek dyskurs, ale nic mu się nie wiązało.

Nakoniec stolnik, oglądając się około siebie, jakby czego zapomniał:

— A lampeczki? — rzekł. — Ot milczym, jakbyśmy oniemieli, bo humor i elokwencya nasza przy nich w pokoju zostały się.... i wapan, panie wojewodo, coś często zadumanym bywasz, gdyś senatorskie zajął krzesło; przedtem tego nie bywało! nawet moja pani toż samo onegdaj postrzegła.

— *O tituli, scopuli, titulo meliori vocandi!* (*)

— Oj tak, tak! *tytuły to szkopuły*.... Tu podano lampeczki rozpoczęte. — Lecz by nam zdrowia nie psuły — mówił dalej stolnik — dokończmy na waletę, mopanie wojewodo, bo *tempus tempi*, czas się skępi....

Wtem, krówki, wracając całém stadem z pola, weszły na dziedziniec i rycząc, biegły skwapliwie do stawu, by się napić i ochłodzić. Cichy dziedziniec pana wojskiego ożywił się niejako i w ruchliwy wiejski zmienił obrazek; daleki gwar wracającego z pola robotnika dochodząc aż tutaj, oznaczał

(*) Tytuły, szkopuły, lepszym tylko tytułem nazwane.

porę dnia, w której jak pszczoły do ulów, lud pracowity z plonami lub nadzieją plonów wraca pod strzechy....

Wojewoda powstał, a przypatrując się jeszcze czas niejaki temu, co przed sobą widział, z widocznym wzruszeniem ujął rękę wojskiego i: —

— Zazdroszczę ci — rzekł — zazdroszczę ci tych wiejskich, pożytecznych razem i miłych prac rolniczych.... Ja na to nie mam czasu!

„Szczęśliwy, kto na łonie domowej ustroni,
Przed krajowych się niezgód nawałnością chroni,
A lubej zażywając w zaciszu ochrony,
Własnymi woły orze ojczyste zagony!

— Mopanie! — zawołał stolnik — *paterna rura bobus exercet suis*, to toż samo wapan wytłómaczyłeś.

— A tak, toż samo wytłómaczyłem, i widzisz bracie, że w każdym języku, i tak dobrze w naszym jak w łacińskim, można wyrazić to, co głęboko za serca chwyta.

— A w to mi graj, mopanie! z łacińskiego! i jak wybornie się udało! Ale ta zazdrość wapana nam gospodarzom dowodzi prawdy mojej sentencji o *tituli*, *scopuli*. Wszakże, mopanie wojewodo:

Qui nihil videntur agere, majora agunt. (*)

I wapan, *majora agis pro bono publico*, a wysokie wapana dostojęństwo, którym się wszyscy w rodzinie cieszym, kompensuje kłopoty urzędu; gdy zaś senatorstwo bardzo wapanu dokuczy, przyjeżdżaj do nas! Nadzieja w Bogu, że przy tém *antidotum* wszel-

(*) Którzy nie czynić nie zdają się, więcej czynią.

kich błęd ludzkich, którego naznaczonej doży do-
kończ wapan z lampeczki, i przy nas, twych kor-
dyałnych mopanie wojewodo przyjaciołach, nie umrzesz
z nudy. Héj! Rozmachajło! zajeżdżaj! bo widzicie
wapanowie, ponieważ on tego biczem macha, więc się
zowie Rozmachajło i zfrancuzić go żadnym sposobem
nie mogę.

Stangret, jakby dla usprawiedliwienia swego prze-
zwiska, palnął huczno i kilkakrotnie z bicza, a ka-
reta stanęła przed gankiem.

— Panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju — ode-
zwał się wojski — konsylia pana stolnika są wyśmie-
nite i zbawienne, spełniać je należy; o altanie mo-
jój, w której jako on mówi, raczysz *vacare Musis*,
z chlubą successorom moim rozpowiadać będę. Przy-
bywaj więc do niej jak najczęściej; domek mój szla-
checki i serce otwarte zawsze dla cię!... a tymcza-
sem i dozę *antidotum* tego dokończyć należy panie
wojewodo.

— Koniecznie, mopanie, koniecznie!

Res infinita, tanquam non incepta, (*) i musiałaby
się chyba *a capite* zacząć.

— Niechże tego Bóg broni! — zawołał wojewoda.

— A tak, mopanie, tak!

Incidit in Scyllam, qui vult vitare Charibdim (**);
wybieraj, panie bracie!

— Więc na *valetę* kończę — rzekł wojewoda, wy-
chylając do dna lampeczkę — niechże twój *Mosiur de*
Gumbi wspiera nasze kroki.

(*) Rzecz nieskończona, tak jak nie zaczęta.

(**) Wpada w Scyllę, kto chce uniknąć Charybdy.

— Wara, Gumbiuszu! ani tu, ani w domu!... wara! moja pani pomyśliłaby, że kto wie co!...

— Mopanie wojski dobrodzieju, jutro piątek, szczupak na szaro czekać będzie wapana na obiadku; suplikuję, nie przyjmując żadnej exkuzy; a na potuszenie stanie mój węgrzyn, który jako pański stary francuz Kościeszę, tak on Poraja na łbie nosi. Będzie i ksiądz proboszcz, dla dopilnowania i postu i zdrowia naszego. Zatem *ad coram* mopanie!

Oba bracia uściskawszy się z gospodarzem, siedli do karety, do której *de Gumbi* wyniesione wprzód z pokoju książki i papiery wrzucił.

Pan wojski usiadł znowu na ganku...

Wieczór cichy, miły, spokojny objął dwór i całą okolicę... Słowik ozwał się w ogrodzie, kończąc swe wiosenne piosenki; strumień wyrrywając się ze stawu, mruczał po kamieniach.... i na ganku to głośniejsze, to cichsze odzywało się mruczenie.... wśród którego dosłyszeć można było słowa: *Omni Die, Dic Mariae, mea laudes anima!*...



KONWERSACYA MŁODZIEŃCZA
PRZEDTRZYDZIESTOKILKOLETNIA.

OIENIOM I PAMIĘCI

J U L J A N A K O R S A K A

poświęca

autor.

„Lat trzydzieści kilka jednostajnego i zawsze stałego stosunku, to nie fraszka! Czém jest próba ognia dla złota, tém jest czas dla serca ludzkiego i jego uczuć. Nasz stosunek samotrzeci, zawiązała przyjaźń młodzieńcza, podtrzymywało jedno dążenie, i jeden cel życia: naukowa praca i kształcenie się religijno-moralne—nakoniec utwierdziło powinowactwo familijne po naszych żonach. Sam przyznasz, że to jest jedno z arcy-rzadkich zdarzeń, które troje ludzi oplata tyłu rzeczywistemi węzłami. Szczęść ci Boże w twój pracy! a usiadłszy w cieniu chłodzących i szu-

miących lip twojej altany, marząc w **reminiscencyach** młodości naszej o projektowanej **konwersacyi**, wspomnij przyjaznego ci Juliana serdecznie i szczerze, jak ja cię zawsze wspominam i kocham.“

(Wypis z ostatniego listu Juliana Korsaka do Ignacego Chodźki.)

KONWERSACYA MŁODZIENCZA

PRZEDTRZYDZIESTOKILKOLETNIA.

„Tuż za domkiem mały sadek,
 Krążony biegiem wód czystych;
 Mych dziecinnych pieszczot świadek,
 Potém zapalów ognistych!...
 Powiernik myśli samotnych,
 Roskosz tkliwych, łez ronionych,
 Moich nadziei stokrotnych,
 Niestety! stokroć zmylonych!!!

W nim lipa stoletnim cieniem,
 Przed spiekłym słońca promieniem,
 Ukrywa zefirek chłodny:
 Między jój gęste konary,
 Wije się motylek szary,
 Jak myśl—żywy i swobodny!...

J. Ch....

I.

Ludzie mają swe przeznaczenie, zda się że i miejsca niektóre na ziemi mają także swoje. *Ludzie* wybrani mają przeznaczenie wielkie, szerokie, po-

tężne: *miejsca* niektóre przeznaczonemi być się zdają na wypadki także wielkie i długo pamiętne. *Ludzie* obdarzeni talentem przeznaczeni są, aby rozlewali pokój, miłość i naukę po świecie: *miejsca* niektóre przeznaczonemi być się zdają, aby uspakajały, rzewniły i miłością powszechną upajały serca ludzkie. *Ludzie* szukają miejsc stosownych do swych pojęć, uczuć i zamiarów: *miejsca* zdają się same nastroczać i przywabiać ludzi. *Geniusz* i *potęga* na szczytnych i dogodnych wielkim zamysłem, wznoszą grody, twierdze i wspaniałe Bogu świątynie, lub pamiętnemi czynami, *miejsca z czasem*, to jest z dziejami wiążą. *Talent* i *serce* obiera sobie ciche ustroina, pięknej natury wdzięczne przybytki, zdobi je i uwieńcza kwiatami, ocienia drzewami, upowabnia owocem, i wśród nich podobając sobie, z lutnią w ręku, śpiewa hymn Bogu, lub pieśń dla ludzi... która brzmiąc w późnych pokoleniach, imię mędrca lub poety, i *miejsce* mu ulubione, urokiem czci i wiekulstego wspomnienia okrywa. Któż z nas niechciałby uderzyć czołem w *Czarnolesiu*? lub podumać pod lipą, pod którą nieśmiertelny wieszcz nasz „*piérwszy Muzom polskim pozapłatał kosi*.“ (*)

W skromniejszym zakresie, ogród który z piérwszej *konwersacyi* poznaliśmy, zdaje się jednak mieć swe poetyczne przeznaczenie. Zbiegiem rozmaitych okoliczności, i powabem miejsca przyciągani tu od czasu do czasu, i w rozmaitych epokach literatury

(*) Słowa Jana Kochanowskiego.

naszój uczeni goście, nieraz w lipowej altanie, to układali i przedłużali swoje prace, to próby talentów swych głosząc, zawieszali w niej niejako obrazy swego natchnienia, jak błędni niegdyś minstrele swe pielgrzymie wota.

Tu, jak wiadomość domowa i z kolei pamięć zasięga, X. Ignacy Chodźko *Societatis Jesu*, przebywając w domu rodzzonego brata swego pana *wojskiego*, przetłómaczył na język polski wierszem miarowym bajki Fedra (*), które później po skassowaniu zakonu z textem łacińskim i francuzkim wydrukował, i Kommissyi Edukacyjnój przypisał.

Tu, jak widzieliśmy, *Ksawery Chomiński* wojewoda mściławski, *Delila* i *Rassyna* tłómaczył; a to już był u nas zachód łaciny, a wschód francuzkiej gwiazdy. Gdy zaś ona w całej swój świetności jaśniała, tu *Jan ze Świsłoczy* (Jan Chodźko) synowiec pana wojskiego, kształcąc swe na jej wzorach zdolności, pisał i deklamował swoją tragedję *Bolesław Krzywousty* (**), której z większym ukontentowaniem i znajomością treści, jako z dziejów ojczystych, słuchał ośmdziesięcioletni już natenczas *wojski*, i rodzina chlubiąca się familijnym talentem.

Tu natenczas igrało około niego siedmioletnie chłopię, syn jego i dziedzic jego zdolności, który potem w czasach już téj *konwersacyi*, jako głęboki oryen-

(*) Drukowano w Wilnie 1774 w drukarni Akademickiej, z pracowitym komentarzem łacińskim.

(**) Tragedya *Bolesław Krzywousty* nie drukowana, lecz po wszystkich teatrach narodowych nieraz reprezentowana; ostatni raz w Wilnie 1821 r.

talista, tłumacz pieśni nowo-greckich i perskich kas-sydów zasłynął (*), a natenczas wpatrując się w twarz ojca poetycznym zapaleń promieniejącą, dziecinném zdumieniem i pojętnym wzrokiem, zwiastował literaturze naszej znakomitego wieszczą. Obok stał mu brat jego starszy, który godło Wiary naszej *Krzyż święty* na szczycie *Araratu* miał utkwieć!!!

Upłynęły potem lata, zmieniły się wyobrażenia: altana ze swém przeznaczeniem nie zmieniła się wszakże.... Wnuk nastąpił po dziadu, i pochopy do poezyi jakby z altany natchnione, objęły go także; bo któż za młodu czując żywo, unosząc się polotnie, kochając się płomiennie, tych pochopów nie uczuł? I znowu altana zabrzmiała rymami, lecz nie słyszanęj w niej dotąd treści. Tkliwe skargi, pochwały wdzięków, zaklęcia i przysięgi, w rozmaitych formach i tytułach, tworzyły się w niej, a rozlewały się po *sztambuchach*, lub się wkładały w piękne rączki, rumieniących się na te czule wyznania dzie-wic.... a że i sama altana miała w poezjach dzie-dzica swój udział, dowodem godło nad tém pismem umieszczone, z tamtoczesnych jego poezyj przypomniane.

Był to czas u nas poezyi, że tak się wyrażę, *sztambuchowój*: zalotnej, miękkiej, dziecinniej, za-kołychaniej w błogie *far-niente*, wśród którego ple-szczona, jednotonna, mniej więcej czuła i szczerą, mniej więcej żywa lub tęskna, odzywała się melo-dya. Żadnej nigdzie całości ani dążenia, żadnych uczuć prawdziwych serca, żadnego podniesienia du-

(*) Poezye Aleksandra Chodźki, drukowane w Petersburgu 1829.

cha; a przytém wszystko cudze; wszystko jeszcze francuzkie, wszystko mniej więcej naśladowane, i wszyscy czytelnicy i poeci, pięknemi wierszykami, jak dzieci cackami się bawili. (*)

Pojawiały się wprawdzie gdzieniegdzie pojedyncze talenta: *apparent rari nantes in gurgite vasto*; bo kiedyż u nas nie było talentów? Lecz i te znacząc się tylko **to** wyborniejszą treścią, najczęściej z walk rycerskich wojennej natenczas Europy natchniona, to milszém i dowcipniejszém jéj oddaniem, błyskały jak świetniejsze gwiazdy, na tle zasypańmigocącemi się iskierkami.

Epoka Stanisławowska zasłynęła poetami oryginalnymi, którzy narodowe treści w klassyczne formy, francuzkim szychem ozłocene, wciskali. Ta, której pobieżny rys kreszę, jakby jeszcze słabszego usposobienia i ducha, już się na oryginały zdobyć nie mogąc, tłumaczeniami się zajęła—wszakże, w niedostatku innych głównych zasług, tłumacze ci, wyborem celniejszych poematów starożytnych i nowój zwłaszcza francuzkieój literatury, oraz pracowitemi, gładkimi i ile można sumiennemi przekładami, zasłużyli się prawdziwie literaturze naszój. (**)

(*) Nie mówimy tu o prozie, bo téj, prócz naukowój elementarnój, u nas natenczas rzeczywiście nie było.

(**) Mógłbym tu pod każdym ogólnikiem podłożyć imiona i określać czasy; ale ten rzut oka nie ma historycznego celu; służyć on tylko może do dziejów nowszój literatury naszój każdemu, ktoby je pisać miał, jak lekki ślad wśród gęstéj puszczy, który rozpatrującemu ją wędrownikowi zbłądzić nie daje.

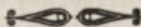
Lecz wzrastało i dojrzewało nowo pokolenie, szczególnie w Wilnie, którego duch młodzieńczy miał rozsadzić krępujące go dotąd formy; przebić i rozświecić, jak iskrą elektryczną, tę mgłę nieruchomą a ciężącą dotąd nad każdym talentem, stare jej pierwiastki zobojętnić, rozbudzić uczucia, rozszerzyć wyobrażenia, i nowym popędem ducha ożywić prawdziwą poezję—„*Miej serce i patrzaj w serce!*“ zawołał jeden—„*Zewnątrz serca, niema życia!*“ a zatem niema i poczyi—zawołał inny.... Młodzież ówczesna czysta, niepokalana, pełna miłości dla nauki i dla wszystkiego co było piękne, serdeczne i własne, przyjęła z oklaskiem i miłością przykład, który natchnieniem ich, marzeniom ich nawet młodzieńczym, własne, rzewne, uczuciem i prawdą tchnące podawał nóty.

Wielu jednak, ba! i bardzo wielu, nie myśląc głębiej, i powierzchownie znowu do naśladowania nowej obczyzny, (bo już po Europie, tak nazwany romantyzm nad klassycyzmem brał górę) do imienia, do form nowych i do tytułów się przywiązując, we wskrzeszeniu średniowiecznej *minstrelów* i *trubadurów* poezyi, doskonałość widzieli, i nowe *Donkwiszoty*, starego *Pegaza* na *Rossynanta* jakby przehandlowawszy, we własne go tylko i swojskie, mniej więcej zręcznie podrobione, stroili rzedziki. Średniowieczny mistycyzm, świat duchów, ich widomy wpływ na sprawy ludzkie, wszedł natenczas w poezję powszechną; a u nas znalazł się pod ręką w podaniach ludowych, w mnóstwie zabytków i przesądów bałwochwalczej Litwy, w cudownych objawieniach, będących jakby własnością każdego prawie domu, każdej

rodziny, zapas obfitych treści, z którego poczerpnięte sypnęły się na nas hurmem ballady, czary, upiory, i cała czereda piekielna ze swemi fantastycznymi marami.... Jakby przełęczniony takim zjawiskiem, pierzchnął bez powrotu liczny zastęp bogów mitologicznych, niedozwalający dotąd, niby hufiec granicznej straży, przestąpienia kardynalnych okęgów wyobraźni, i układający maszyny do bohater-skich poematów; a nowa nazwa poczyi *romantycznej* i poetów *romantyków*, weszła i u nas na świat literacki.

Ale wyższe talenta pojęły wnet siebie samych, i nowy a rozległy horyzont, który się przed wzrokiem ich duszy rozwinął, i bez żadnych kolejnych przejść i postępów, jednym dzielnym rzutem genialnego polotu, od pierwszego pocucia do szczytu się wzniosły — a literatura nasza wzbogaciła się w arcy-dzieła poetyczne i w imiona nieśmiertelnych wieszczów!...

Stłumiona i zdziwiona rzesza naczelných wyznawców starych prawideł, mentorów literatury, z pod których władzy i przewodnictwa swobodna wybijała się młodzież, rozwinęła swój klassyczny sztandar, około którego, jak około chorągwi Mahometa, gromadzili się wierni... i zaczęła się walka na śmierć i życie! Wśród takiej to wojny domowej, jedna z podjazdowych utarczek, odbyła się w altanie.



II.

Młodość, wiosna i miłość! trzy pokusy życia ludzkiego — trzy nadobne siostry, same uwieńczone kwiatami, i wieńczące młode czoło człowieka.... Gdziekolwiek one są razem, wnet tam jest czwartą *poezya*, i gdybyśmy trzy pierwsze w materialnych postaciach wyobrażali, *poezya* byłaby duchem płomiennym *Pigmaliona* ożywiającym je. A czyli się ona natenczas na jaw, z przepelnionego serca wylewa, czy w duszy tylko gore i ją unosi, zachwyca, rozmarza — zawsze w tém połączeniu, ona z piękności natury tworzy rajske ideały, i najulubieńsze chwile życia naszego urokiem natchnieia i najczulszych roskoszy napawa.

Te trzy czarodziejki z towarzyszką swą czwartą, panowały teraz nad domem, nad ogrodem, nad sercem pana *Ignacego* młodego dziedzica po panu *wojskim* wnuka jego: a altana w której przed laty widzieliśmy poważną starców *konwersacyę*, zaprzeczającą francuzkięj *klassycznęj* i *dramatycznęj* Muzie praw do greckiego *Koturna*, była ich teraz głównym przybytkiem. Konwersacya zatem, która, jak *kameleon* kolory, zmienia się z czasem i z wyobrażeniami ludzkiemi, i do nich stosuje, i tu się zmie-

niła zupełnie: a w tej jednej zmianie, ileż to zmian razem!!!

Dom pana stolnika w starożytnym swym kształcie stał nietknięty, jako i teraz trwa jeszcze; wnętrze nawet jego też same — wejdź weń, a znajdziesz się w przedstowiecznej rezydencji naddziadów naszych. Obszerne sale i pokoje, wielkie kominy, zestarzałe na drewnianych ścianach i sufitych *freski*, przypominające jeszcze dzisiaj w godłach i sentencyach ulubioną pana stolnika łacinę. Nad jednymi naprzykład drzwiami, *pelikan* rozpościera skrzydła, i zasłania swą dziatwę przed orłem unoszącym się nad gniazdem, dzióbem zaś wydiera pierś swą na ich pokarm; napis u spodu: „*Suos amat atque tuetur*“ (*); piękne zapewne godło ojca rodziny. Na głównym kominie, wielkie namalowane ognisko i napis: *Sine lignis, non fiat ignis*“ (**), i kilka tym podobnych. W sieniach powita cię *Mosiur de Gumbi*, którego wierny konterfekt, w naturalnej postaci, u drzwi głównych pan stolnik wymalować kazał. Są więc tam i dziś pamiątki, wśród których gdy się znajduję, zda mi się, że z-za którychkolwiek podwoi wysunie się poważny stolnik, i rad z gością, zawoła wesoło: „*Hospes venit*, mopanie, *Christus venit*“ — koniki do stajni.

(*) Kocha swoich i opiekuje się niemi.

(**) Bez drewek nie będzie ognia.

Ale dom ten z czasem inna objęła rodzina, a w starożytnie ściany jego, los pełną dłonią, jakby kwiaty wiosenne, rzucił wdzięki dziewic litewskich. Przebiegały one lekkimi stopy i uweselały te posępne sale i komnaty, budząc wyobrażenia tylekroć opiewanych niegdyś piękności po starych zamkach zamieszkałych. Tu więc były *młodość* i *wiosna*, a o pół mili w altanie *miłość* i *poezya*.

Głową téj rodziny był brat jój najstarszy, pan Krzysztof M. kapitan. Przybył on przed kilką laty do domu z wojen, które się upadkiem mocarza francuzkiego zakończyły. Po bitwie Lipskiej, ozdobiony krzyżem legii honorowej, walczył potem na ziemi francuzkiej; wrócił nakoniec z ostatkami ojczystych szeregów do kraju, a wywołała go z nich śmierć ojca i nowemi obowiązkami gospodarza, opiekuna młodszego rodzeństwa, i z kolei męża (bo się wkrótce ożenił) obarczyła.

Wnuk pana wojskiego był to młody człowiek, który skończywszy nauki w Uniwersytecie wileńskim, po świeżej stracie rodziców osiadł także w domu, wolny, swobodny, niezależny, i zaczął wieść gospodarkę z konieczności, z przymusu nawet, lecz wcale nie z upodobania, które go raczej do literatury, do poezyi, niżeli do pługa nakłaniało. A żywioł do poezyi miał tuż, w pięknych swych sąsiadkach — więc imionami ich zabrzmiała altana, a cyframi zdobiły się jój drzewa. Talent, czy tylko pretensyę do talentu, wyniósł on z lekcyj lite-

ratury polskiej, wykładanych w Uniwersytecie przez *Euzebiusza Słowackiego* (*), najściślejszym wówczas klassycyzmem i francuzczyzną tchnących. Więc naśladować wielkich ówczesnych mistrzów narodowych, lub bez ceremonii tłómacząc i przywłaszczając sobie francuzkich, gdy nawet do téj chwały dościsnął, że Dziennik wileński jego rymy drukował, przez czas niejaki za najgorszego gospodarza, ale za wielkiego poetę uchodził.

Częstokroć serca i uczucia młode, podały mu jakąś myśl żywszą, jakiś wyskok w bok lub w górę od przyjętych reguł, natenczas mimo instynktowe przekonanie, że tak nieźle byłoby, odrzucał to śmielsze uniesienie, pomysł lub wyraz tylko, jak herezyę, gładząc nawet pracowicie jój ślady.

Pisał więc pan Ignacy szumne *Ody*, milutkie *Anakreontyki*, słodziutkie *Tryolety* i *czterowiersze*; niekiedy złośliwym *Epigrammatem* dopiekl rywalowi, a niekiedy zdobył się na wiersz *quasi modo* bohaterski, równo od początku do końca trzynastomiarowy, na chwałę kolegi *Poety*, który mu wzajemną odplacił monetą. Ktoby dziś dojrzałym a bezstronnym sądem roztrząsał te poezye, i wszelkie inne z tamtego czasu, bo wszystkie podobnego sobie są kroju, znalazłby w nich wielką umiejętność rymowania, politurowaną gładkość wiersza, niekiedy dowcip, w niektórych wyraz przypominający Trembeckiego rzymską polszczyznę; lecz nigdzie poezyi ducha, nigdzie samoistości....

Jeden tylko ówczesny poeta, kochanek *Emmy*,

(*) Tłómacz *Heuryady* i autor tragedyi *Mendog*.

jak niegdyś czuły kochanek *Justyny*, jest tu wyjątkiem, i jak stoi w literaturze naszej osobny z tłumu Stanisławowskich rymopisów, tak i ten własny i nienasładowniczy, lutnię swą podług serca strojąc, roni z niej tkliwe poezye, wchodzące w duszę i pamięć wszystkich. Nie szuka on chluby ze swego talentu, nie pragnie wieńców ani okłasków, ale z uczuciem głębokiego przywiązania do ojczystej ziemi, wszelkie swe nadzieje i żądze wrzewnęj do Boga wznosi modlitwie.

„Tu ja (mówi on) w krótkiej modlitwie naprzykrzę się Bogu.

„Daj zdrowie, póki życie dajesz Władzco nieba,
I kęs dziękowanego Tobie tylko chleba!
A gdy grób mój śmiertelne nacisną kamienie,
Niech jeszcze w ustach ziomek żyje moje pienie!”

Lecz nowe gwiazdy, jakem to powiedział, jawić się poczęły na firmamencie literackim i gasić dawniejszych luminarzy. Pan Ignacy niewiele odbiegł wiekiem od akademickiej młodzieży, wśród której się te fenomena reformy objawiały, znał ich prawie wszystkich, a kochał i był kochany od tych szczególniej, z którymi go wzajemna poetyczna zbliżała sympatya. Pan *Edward* i pan *Juljan* najbliżej złączeni z sobą, chętnie i ochoczo zawiązali miłe wzajem z panem Ignacym stosunki; bo on w ich towarzystwie przedłużał swą młodość i wszystkie jój uludy; oni w jego większym ze światem otarciu się, jako starszego, niewyczerpa-

ne mieli źródło dowcipnych postrzeżeń, podniecających młodzieńczą ich wesołość; — a wszyscy trzej w poetycznych projektach, poufnych powierzaniach się i zachętach, coraz to nowe rozkosze serca, coraz to większe powody wzajemnej przyjaźni, znajdowali.

Byli to właśnie nowi renegaci *klassycyzmu*. Nowi, bo pan Juljan niedawniutki i wyborny tłumacz liryków Horacyusza, uczynił teraz wyznanie nowej wiary szczytną swą poezją *Czas i Geniusz*, i brnął dalej i dalej nie rozstając się z *Goetem* z *Szylle-rem*, z *Bajronem*, z których coraz to świeże, i jak na złość panu Ignacemu, coraz to piękniejsze tłumaczył ustępy; a pan Edward załamawszy pióro na polowie przykładu *Ifigienii* Rassyna, całemi dwoma tomikami ślicznych poezyj i ballad własnych oryginalnych i tłumaczonych, dał jawny dowód swój apostazy, a co gorsza apostolstwa.

Oburzony i przerażony pan Ignacy tak nagłą reformą, taką konfederacją buntowniczą, wołał głosem wielkim na zaprzańców dawniej poetycznej wiary:

„Czyś ty z glazu wycięty, czy wytopion z miedzi?

Pisał on do Edwarda.

Czy zły duch, Panie odpuść, w sercu twojem siedzi (*)?

Że ci ni żadne prośby, ni żadne przestrogi,

Z tak zwanęj romantycznój nie sprowadzą drogi.

Ściśle z Appolinowym spokrewniony ludem,

Jak mołna za koranem, rabin za talmudem

(*) Drukowano w Dzienniku Wileńskim.

Tak ty młodych dowcipów wspierany gromadą,
 Za twoją czarnoksiężką obstajesz balladą:
 Co w waszych rymach piękna, lecz w zmyśleniach gruba,
 W miejscu Feba, na scenę wiedzie Belzebuba.

.....
 Nie na to cię niebieskie natchnęły dziewice,
 Byś je dręczył w balladach, jakby czarownice.
 Godniejszym twych talentów językiem przemawiaj.
 Porzuć straszyć, a raczej nauczaj, zabawiaj!
 Ozdób mowę w tłumaczów związłych niebogata,
 Jakeś zaczął, Rassyna polską odzież szatą:
 Lub w własnych dziejach czerpiąc pracy twój ośnowę.
 Dla Barbary, Ludgardy, utwórz siostry nowe:
 Znam cię — do wszelkich treści twe talenta nagniesz,
 I wszystkiego dokonasz, gdy szczerze zapragniesz” i t. d.

Ale gdzież tam! Edward po długiej zwłóce, ot co
 odpowiedział:

„Piętnasty już to *Dziennik* na pociechę Litwy
 Błękitny lot rozwinął, jako mię do bitwy
 Wyzwałeś w nim Ignacy — a jeśli nie skoro
 Stałem ku odsieczy, wyznaję z pokorą,
 Żem znagła napadniony, nie mógł się ośmielić,
 Wzajemnym argumentem napaści odstrzelić.
 Lecz dziś kres twym tryumfom. Nie na trudność względny,
 A chwałę tylko wążąc, jako rycerz błędny,
 Pójdę kędy mnie słuszna będzie zemsta wiodła,
 Zadrzyj więc! — już mi muza hipogryfa siodła,
 Wskoczę nań — zamiast dzidy pióro w rękę chwycę,
 I ot broń się, bo zginiesz — rzucam rękawicę!

.....
 Wiem ja, co cię tak długo utrzymując w błędzie,
 Raz pierwszy na mylnego wystrychnęło sędzię;
 Mniej świadom pieśni Renu, a wcześniej zaznany
 Ze słodkością poetów Tybru i Sekwany,
 Gdzie rym wiecznie pod berłem zimnego rozsądku,
 Raz prawem wskazanego pilnuje porządku,

Gdzie gieniusz jak starzec co w pustych szpalerach,
 Uroczystym się krokiem błąka w Tuilerach,
 Ubitych strzegąc szlaków; dla śmiechu bojaźni
 Nie śmie szukać dróg nowych w kraju wyobraźni.
 Na tych młodzieńcze pióro zaprawiwszy wzorach,
 Po ich tylko na Parnas dostępując torach,
 Nie łatwo możesz wierzyć w piękność muzy, która
 Niecierpiąca przymusu, wolnych ludów córa,
 Często rada ku bocznym ozdobom krok niesie,
 By niemi bardziej strojna, stanęła przy kresie;
 Posłuszna tylko sercu, uczuciom i wierze,
 Przez nie wskazane kwiaty, do swych wieńców bierze;
 Nie dziw więc, żeś nie umknął zwyczajnego losu
 Uprowadzonych przed sądem, sądzących z odgłosu,
 Gdy przeciwnym jój tylko obmowom wierzący,
 Skłonić ucha na chwilę nie chciałeś obrońcy... (*) i t. d.

Z panem *Juljanem* szło jakoś łatwiej. On w pięknym rymowanym liście, przypominając gościnę swą u pana Ignacego, i zachęcając go do autorskiej pracy, rzekł:

„Pomnisz, jakeśmy nieraz łajali ci za to, (**)
 Że beczynnie upływa piękne dni twych lato:
 Kiedyś ziarno talentu zasiał w wieku wiosnie,
 Czemuż ich dojrzałości owoc nie dorośnie?
 Masz-li więc jak ów skąpiec co z laty długiem
 Uzbierany skarb kryje we wnętrznościach ziemi,
 Nie korzystać sam z darów zesłanych od nieba?
 Że odtąd będziesz pisał, przysiąż mi na *Feba!*
 Mówisz: źle na wsi pisać—wszak śpiewak *blanduzy* (***)
 Żył na wsi, przecież śpiewał za przyjaźnią muzy;
 Pisz więc—jeszcze do sławy otwarte ci wrota;
 Nie chcesz wierszem, idź prozą w ślady *Walterskota!*” i t. d.

(*) Poezye E. O. drukowane w Wilnie 1824.

(**) Poezye Juliana K. drukowane 1830 w Petersburgu.

(***) O Fons blandusiae splendidior vitro!... *Horacyusz.*

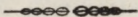
No, pomyślił sobie pan Ignacy, to jeszcze nie stracona nadzieja, jeszcze on zaklina się na *Feba*, jeszcze cytuje Horacyusza, jeszcze więc pamięta, jak będąc studentem i siedząc na ławie uniwersyteckiej, słuchał ze drżeniem, gdy professor literatury polskiej, Leon Borowski (po Słowackim), czytając z katedry i krytykując jego przekład *Od Horacyusza* i ułamków z poetyki o harmonii naśladowniczej, wywieszczał w nim znakomitego poetę i tłumacza, pod warunkiem studyowania starożytnych mistrzów.

Nie uznał się więc zwyciężonym pan Ignacy, ale uczuł potrzebę osobistej rozprawy; i dla tego obu swoich młodych przyjaciół na Zielone świątki do siebie zaprosił, kończąc list swój wyznaniem X. Gaudentego z Monachomachii, zastosowaném *ad casum*:

„Naszym na chwałę, a wam na pokutę,
Plac tu w altanie — czekam na dysputę.”

W *postscriptum* zaś dodał: „Jeżelibyście stchórzili lub zalenili, spójrzycie w kalendarz, w ciągu tygodnia znajdziecie *imie*, które wiejskim podwieczórkiem obchodzić będą—*sat sapienti!*“

Imie to było *Zofia*.



III.

„Jednak, cały szczęścia wątek,
Sklada jakaś cudów chwilka,
Jakiś obraz, uczuć kilka,
Kilka z młodszych lat pamiątek” (*).

Kilka pamiątek!... prawda, nie masz zdaje się życia, któreby kilku przynajmniej takich nie miało pamiątek; a nawet wiele ich mieć nie można, boby serce nieotrzymało wrażeniom, i pękłoby przepelnione rozkoszą—nie mieć zaś ich zupełnie, jest to żyć bez przeszłości.

Myśli moje i pisma nigdy, jak mniemam, nie wprowadziły czytelników moich w świat fantastycznych urojeń, fałszywych uczuć, marzeń niebezpiecznych, wiodących za sobą niesmak życia i jego zwyczajnych warunków, a żądzę i pragnienie niedoścignionego szczęścia, które zakłęte, w pałacach gdzieś hiszpańskich mieszka. Jeżeli rozbudzam często czulsze wspomnienia, jeżeli wzywam czytelnika aby poszukał w przeszłości swojej, tych *kilku z młodszych lat pamiątek*, to dla tego, że

(*) Zaleski.

je mam we własnej, że ich nie wymyślam pracowicie, nie układam sztucznie a fałszywie, istnieją one ukryte w duszy każdego kto ich doznał, a wywołane pamięcią, przesuwają się jak za mgłą lekką fantasmagoryczne uroczne obrazy, na które poglądając, widzi człęk jakim był niegdyś, rozmyśla jakim jest, i wznosząc z rozrzuwaniem oko w niebiosa, дума czém będzie!!!...

Powodując więc do takich zadumań czytelników moich, mniemam że ich nie nudzę.

Święta nasze uroczyste, nie tylko w domach Bożych zgromadzają nas i jednoczą, nie tylko wspaniałością i powagą obrzędów, wzbudzają cześć dla Stwórcy i gorące tam doń modły, ale wszędzie, w pałacach panów, jak i pod strzechą wieśniaka, rozpowszechniają niejakiś rozweselenie, swobodę, i zostawują nigdy niespowszedniałe, choć corocznie powtarzane wspomnienia.

Jeszcze echa od *Alleluja* nie ustają, jeszcze

„Z gór obfite płyną wody,
Z oczu ły dla dusz ochłody,
Kwitną serca i ogrody,
Alleluja!” (*)

a już nowém weselem obdarza nas religia. Pamiątkę zstąpienia Ducha Bożego na świat, obchodzi Kościół nasz w porze, gdy cała natura duchem Bo-

(*) Autorka w *Imie-Boże*.

żym ożywiona, odradza się na wiosnę, i stroi się w niewymówne ozdoby. Zdaje się że duch Boży unoszący się nad ziemią, jak niegdyś nad wodami gdy ziemi nie było, zapładnia ją teraz na przyszłe plony ziemskie, na wszystkie dobrodziejstwa Boskie dla ludzi! Umajamy więc wejścia do domów naszych, na oznakę radośnych dni tych; woń balsamiczna młodych brzozek pozatykanych przed każdym chrześcijańskim progiem, ogarnia zmysły i rzeźwi je, a ruch powszechny zwiastuje święto witane i obchodzone całą duszą, całym sercem....

Zaproszeni, pan *Edward* i pan *Juljan*, przybyli do pana *Ignacego* w wigilię Zielonych świątek w nocy, i znużeni kilkunasto-milową podróżą, rozbudziwszy gospodarza, ledwo się z nim wzajem uściśnęli, wnet zapragnęli łóżek. Nazajutrz słońce wysoko już w górę się wzbilo, gdy gospodarz niepewny czy goście do południa się ockną, postanowił ich przebudzić i nie dać im stracić pięknego poranku, i uroczystego w blizkim parafialnym kościele nabożeństwa. Wchodząc zatem do pokoju gdzie ich umieścił,—No śpiochy!—zawołał.

„Rannym ogniem wschód się pali,
Dalej z łoża! dalej—dalej!”

— Czy na polowanie masz nas prowadzić?—rzekł *Edward* przecierając oczy, — że budzisz moją myśliwską pieśnią?

Pan *Ignacy* deklamował nieodpowiadając:

„Wschód się pali, gore, płonie:
A czeka kawa na Helikonie!”

— Na *Helikonie*? odezwał się poziewający *Juljan*—
wiesz co? każ ją wolój tu przynieść, albo dać w two-
jój altanie; bo do Helikonu daleko, nim dojdziemy
tam, ostygnie; a ja lubię gorącą, *notabene* z kożu-
szkiem i sucharkami, rozumiesz panie gospodarzu?

— Rozumiem, i wiem twoje gusta smakoszu;
wszystko gotowe, wstawajcie: a na Helikon nie tak
bardzo daleko, kilkanaście kroków za altaną—odpo-
wiedział pan Ignacy.

— To co nowego, jakaś niespodzianka?

— A jużciż oczekując poetów, przygotowałem *He-
likon*; nic naturalniejszego.

Pan Ignacy powiększył ogród dziadowski-i poangiel-
szczył go trochę, zajął weń część pięknego brzozo-
wego gaju, który go od północy zasłaniał; powypro-
wadzał rozmaite ścieżki, na potoku porzucił mostki,
pozasadzał klomby, i tym sposobem rozweselił jego
staroświecką powagę.

W téj nowéj części ogrodu, znalazły się cztery
ogromne brzozy z jednego pnia rozrosłe: wśród nich
zatém wysoko nad ziemią, osnowano z brzozowych
także balek bezpieczną galeryę, ogrodzoną i wy-
moszczoną, a przypartą do brzoz tak, że się ra-
zem z niemi od wiatru kołysała, i razem z niemi
wzrosła być się zdawała. Wschodki podobnież brzo-
zowe, ślimakiem skręcone, bezpiecznie na nią wio-
dły, a tam stolik i ławeczki dla kilku osób wygo-
dnie służyły. Na frontowój zaś baryerze, z białych
brzozowych prątków splecionój, wielkie litery ze
mchu zielonego ułożone, wyrażały szyld poetycki:
Helikon.

Apetytem i ciekawością pobudzeni *Edward* i *Juljan*, wrzucili na się szlafroki i szli skwapliwie za gospodarzem.

Przeprowadziwszy ich przez altanę, pan Ignacy wywiódł na punkt, z którego Helikon się ukazał, i zielony napis wyraźnie czytać się dawał.

— A-a-a! — okrzyk zadziwienia gości — wybornie! wybornie! — wołali oni: — wyśmienity concept, wyśmienity! jaka piękna i niepospolita ogrodu twego ozdoba! — i w mgnieniu oka wszyscy trzej byli na helikonie.

Na stoliku tam przygotowano kawę, (bo natenczas herbatę chorzy tylko pijali), do niej faworytne panna *Juljana* sucharki, przemieszane sąsiedzkimi smórgońskimi obwarzankami; płaskie garnuszczyki ze śmietanką smakowitemi zaciągnięte kożuszkami, i nakoniec kilka fajek, puszka wybornego turczyna, i koszyk z krzesiwkami i hubkami.

— No *Juljanie*, — rzekł Ignacy — nalewaj nam kawę podług swego gustu, to nam dogodzisz, a ja ci za to fajkę przygotowuję.

— Co za rozkosz tu! — wykrzyknął *Edward* — jaki chłód miły! a też zielone warkocze brzoźowe, które nam czółą pieszczą: to dalibóg wachlarze umyślenie tu nawisłe, aby komary opędzały. Ach! jak się kołyszymy w najczystszej eterze!..

Juljan uśmiechał się, a to był nieomylny i jedyny znak jego zupełnego zadowolenia; rzadko się uśmiech taki jawił na jego zadumaném zwykle obliczu; lecz gdy się okazał, ogarniał je całe, a łagodne i wyraziste oko jego, niezwykłym natenczas promieniło się blaskiem.

— A cóż to będzie, moi panowie? a cóż to będzie? — rzekł pan Ignacy — gdy na tym helikonie ujrzycie *Muzy*? piękne jak anioły dziewice! padniecie wtenczas na kolana wy romantycy, przed takim czarującym godłem klassycyzmu: widzialne śmiertelnemu oku *Muzy* na *Helikonie*! Po jutrze wam ten cud wywołam.

— A będą — zapytał z niedowierzaniem Edward.

— Niezawodnie.

Wszyscy trzej zatem poili się kawą, dymem sułtańskiego tytoniu, którego kłęby z długich cybuchów i złotych bursztynów ciągnione, pomiędzy gałęziami drzew się rozwijały, i rozkoszą wewnętrzną.... słodsza nad wszelkie nektary.

Po chwili milczenia Edward powstał, powiódł szeroko wzrokiem, i obracając się do Ignacego, słuchaj — rzekł:

„Choćbym się wdarł gdzie najwyższy
Szczyt Monblanu w chmurach tonię;
Nie czułbym się Nieba bliższy,
Jako na twym Helikonie!

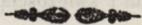
—
Nie szczędź pracy, mój Ignacy,
Wieszczę lutnię ujmij w dłonie,
A uwieńczą cię rodacy
Laurem, na twym Helikonie.

—
Obym kiedy świat zwiedziwszy,
Spoczął tutaj w muz twych gronie!

Nigdzie nie byłbym szczęśliwszy,
Jako na twym Helikonie.” (*)

— Helikon poświęcony! — zawołał Ignacy ściskając rękę Edwarda, i odtąd ma swoją wartość i pamiętkę.

Tak spędziwszy ranek, wszyscy trzej pojechali do kościoła.



IV.

Od samego wschodu słońca na dniu trzecim po Zielonych świątkach, wielki był ruch w domie, a szczególnie w ogrodzie pana Ignacego, w którym on miał wystąpić z podwieczórkiem dla swych pięknych sąsiadek, i na solenizacyę imienin jednej z nich. Gracowano ścieżki, okładano świeżym daniem kanapki, koszone murawy i trawniki; ogrodnik dobrawszy sobie kilku zręczniejszych chłopaków, plotł długie girlandy z kwiatów, które w nadobnych festonach, pod dyrekcją samego pana Ignacego, w altanie po lipach rozwieszał, zdobiąc, jakby na uroczystych, sędziwych starców w młodzieńcze wieńce.

Do strojącój się tak altany, weszli *Juljan z Edwardem*.

— Dzień dobry — rzekli, a oglądając się w około — ślicznie! — zawołali — występujesz kochany panie Ignacy, niema co powiedzieć. A helikon?

(*) W roku 1824.

— Helikon, moi panowie, symbolicznie ubrany: stoją tam wazony róż, ofiara moja damom, które tam wstąpić raczą, a które.... jakżeby to powiedzieć?...

— Rozumiem, — rzekł Edward — nie łam sobie głowy; śmiało klassycznym kommunalem powiedz im:

„Wdziękiem i świeżością razem
Te róże waszym obrazem!”

Rozśmieli się wszyscy.

— Ale jest tam jeszcze, — mówił pan Ignacy — tak sobie jakby od niechcenia, jakby z przypadku porzucono wazonik mirtu; bo wiercie mi, ile razy zdarzyło mi się widzieć dziewczynę przy kwiatkach, a znalazł się *mirt* obok *róży*, to ona pieszcząc niby różę, ciągle ukradkiem na mirt rzuca oczkiem, wyraźnie czuje doń sympatyę, i tęskni do chwili, gdy zeń wianeczek na główkę jej uplotą.... tęskni może do tego, kogoby rada mirtową gałązką obdarzyć — uszczęśliwić. Zrywa różę.... marzy.... czasami źrenica łezką zajdzie.... Uważajmyż i tu, jak *symbolum* to małżeństwa działać będzie? A kto wie Edwardzie? może Zosia uszczknie gałązkę i....

Edward się wzruszył. — A kto wie Ignacy, — odpowiedział wzajemnie — może Ludwika uszczknie gałązkę?...

— Daj Boże, — odezwał się Julian — aby obie uszczknęły dla was po gałązce, i abyście się oba poženili; serdecznegobym uciał mazura na waszém weselu.

— A potem śpiewać będziesz—rzekł Edward—piosneczkę Brodzińskiego napisaną przezeń dla jakiegoś starego kawalera:

„Chłopcy się żenia,
A ja nie;
Lata się mienia,
Nudno mnie!
Każdy ze swoją żoneczką,
Ja tylko z moją laseczką!“

— *Ja tylko z moją fajeczką*, — rzekł Julian — do której i teraz biore się, i do kawy ostygliej do licha! czemużes jój znowu nie kazał zanieść na helikon?

— Bo tam ciasno jak róże stały, a zwłaszcza na większy stolik, na którym tu przygotowałem wam pracę. Przyjęliście z ochotą ofiarowane wam *sztambuchy*, oto są; dziś je oddać potrzeba, więc do dzieła moi panowie!

— Aj aj aj, prawda, przyjęliśmy *sztambuchy*! wojska affektów zarekrutowanych... bo taki tytuł przydałby się najwłaściwiej tym pięknie oprawnym książeczkom, napełnionym najczęściej duserami, jak ozłoczone puszcзки z cukierkami — mówił Julian — obaczmyż w jakim tu towarzystwie będziemy? Już to panie Ignacy jesteś tu dawno.

— A naturalnie, sąsiad tak blizki i wierszokleta. Edward wziął do ręki *sztambuch* Zofii.

— A! — zawołał — otoż i pan Ignacy.

„Zofio! może nie czujesz,
Jak ufność wzbudzasz i zdradzasz;
Imieniem mądrość zwiastujesz.
Okiem z rozumu sprowadzasz!“

— Brawo! jest concept, jest! zawsze to nie ckliwy madrygał.

— O! dawna znajomość, — zawołał Julian.

Szczęśliwy! powiem otwarcie,
Kto się na tój wpisze karcie;
Ale szczęśliwszy daleko,
Kto pod Kupida opieką,
Tą się nadzieją kołyszę,
Że się w twém sercu zapisze!“

— Dalibóg! przynajmniej w dziesięciu sztambuchach czytałem te wierszyki; tu podpisał się jakiś K... P...

— Dodaj środkowe litery, — dodał śmiejąc się Ignacy — niech cudzego nie kradnie.

— No, a to już na seryo! — czytał dalej Julian.

„Jam jest twój sługa stateczny:
O bodajbym został wieczny!“

— Niejakiś *Tadeusz M...* A co wasan na to panie Ignacy? toż oczywiście rywal.

— Wiem o tém, i znam go; ale mam nadzieję w Bogu, że zaśpiewa on piosenkę swego patrona.

— A jakież litery dodać panie Ignacy do tych *J.Ch...* za okradzenie Trembeckiego?

— Jakto? pokaż! — zawołał Edward, i odebrał sztambuch z rąk Juliana.

„Podobniejszaś niebiankom, niż córkom Adama,
I póki między rodem ludzkim raczysz gościć,
Pół świata cześć cię będzie — drugie pół zazdrościć!“

— Przebóg! panie Ignacy, — mówił Edward — czyż już ani w głowie, ani w sercu nie znalazłeś treści

do wyrażenia swych uczuć dla téj którą kochasz, że aż cudzego, oklepanego użyłeś pochlebstwa?

— Ha! mój kochany, trudno bo coś równie pięknego wymyślić; a widzisz, żem cudzego nie przyswajał, bom podpisał „z *Zofjówki*,” a potem własną cyfrę.

— Trudno coś równie pięknego wymyślić? poczekaj, rzekł Edward chwytając pióro, i zaczął pisać na téj saméj karcie.

— Na miłość Boga! — krzyknął przełęknięty Ignacy — co tam piszesz? czy zwaryowałaś?

— A tak, — rzekł Edward — waryuję tę samą temę, ale na milszą nótę; i oto masz pod *Trembeckim* wariantę *Czeczota*, którejby i Trembecki się nie powstydział.

„I póki między ludźmi świat cię więzić zdoła,
Nie doliczą się w niebie jednego anioła.“

— No, a co?

— Nie można tak naprędce osądzić co lepszego — odpowiedział Ignacy.

— Nie idzie o mądre estetyczne komparacye i sądy, nad dwóma wierszami, — mówił Edward; — ale chciałem ci tylko odpowiedzieć i przekonać, że nie trudno coś równie pięknego, a bodaj i piękniejszego napisać.

— Kto tam u licha gwizdże od rana po gaju i uszy nam świdruje przeraźliwym piskiem? — zapytał niecierpliwie pan Ignacy.

— A to ekonom poszedł w grzyby, — odpowiedział ogrodnik.

— Jakto ekonom w grzyby? wszak dziś niéma święta.

— Nie, niema święta, i on mówił, że miał dziś wiele koło pola roboty, ale jak pan zabrał robotnika to do ogrodu, to rozesłał po kwiaty, tak on sobie świętuje po gaju; a za to, on mówił, że pan będziesz świętać po pustych stodołach i odrynach.

— Głupi i on, i ty z nim razem.

— Da to prawda, ale niechaj sobie; — mruknął ogrodnik kiwnąwszy głową, i dalej girlandy rozwieszał.

— Ależ tu jak w sklepie Norymberskim, — mówił Julian, nieuważając na tę maleńką gospodarską dygressyę; — pełno wszystkiego; i wierszów, i prozy, i kwiatów, i rysunków i wypisów moralnych.

— *Varietas delectat*, (*) — rzekł Edward, — i to bodaj jest najlepszą zaletą takich książeczek, w których jednakże między dziecinnymi fraszkami często znaleźć zdarza się i coś ważniejszego, coś prawdziwie zajmującego; zwłaszcza gdy piękna kwestarka niekoniecznie tylko słodyczami, jak łakome dziecko się opycha, ale i zdrowsze zapasy na dalszą drogę życia, zbiera.

— Wmówże to ośmnastoletniej a ładnej dziewczynie! — rzekł pan Ignacy.

— A przecież i te sztambuchy, jak uważam — odezwał się przerzucając kartki Julian — bardziej w takie piękne pamiątki, niżeli w dusery bogate; więc to dobrze zaleca ich właścicielki. Ot, ktoś wpisał śliczną sztrofkę Brodzińskiego:

(*) Rozmaitość bawi.

K o b i é t a.

„Trzy razy żyjąc na świecie,
Świat cały tulisz do łona.
Przy piersiach matki jak dziecię,
Szczęśliwa, nie wiesz o świecie!
Kochanka tuląc do łona,
Jak w świecie w nim zatopiona,
Zapomnisz wcale o świecie;
A tuląc własne twe dziecię,
Świat cały tulisz do łona!“

— A tu lepij, bo autograf naszego miłego poety;
bajeczka wyborna, jakich on wiele napisał — czytał
Edward:

Pszczoły i Człowiek.

„Wychwalał siebie człowiek opatrując ule,
— Jak to ja z wami pszczołki obchodzę się czule!
— Prawda, rzekły, lecz dobroć z jakiego powodu?
Alboż dla nas to robisz? dla naszego miodu.“

— Sens moralny oczywisty, — mówił Edward; —
bo na przykład pszczołką niech będzie bogata panna
na wydaniu, pszczolarzem aspirant do jej ręki, a
miód posagiem:

„Jak to on do niej będzie zalecać się czule!
Jak błagać wzajemności — myśląc o szkatule.“

— Dopisz tę waryantę improwizowaną, — rzekł śmie-
jąc się Ignacy.

— Oto coś prawdziwie pięknego, — ozwał się z ko-
lei Julian — nie komplement, ręka kobieca, sztrofki
francuzkie; posłuchajcie:

„Seigneur! on dit que le poëte.
Comprend le doux chant des oiseaux;

Et tont le bruit de la tempête,
Et le murmure des ruisseaux.

La poésie est pour l'enfance,
Une goutte d'eau dans la mer;
Mais dans l'âge de la souffrance,
C'est un ruisseau dans les déserts...:

Elle charme la solitude,
Elle rend le nom immortel;
Et n'est peut-être qu'un prélude
De chants dont retentit le ciel!..."

— Pięknie! — wykrzyknął Edward — dalibóg pięknie!
kto podpisany?

— *H. T.* — odpowiedział Julian.

— Czy nie wiesz panie Ignacy, kto to?

— Wiem, ale ponieważ się nie podpisała, więc
nie chce widać aby jój imie wiedziano; upewniam
was tylko, że młoda i piękna jak anioł! sercem i ta-
lentem, jak widzicie, poeta; a skromna, bo nie druku-
je swych poezyj, piękniejszych od wielu drukowa-
nych.

— Więc to jój własne?

— Właśniuteńkie.

— Litwinka?

— Najprawdziwsza.

— Czytałżeś więcéj jój poezyj?

— Czytałem, i wszystkie piękne.

— Czy wszystkie francuzkie?

— Wszystkie dotąd, i naturalnie, to szkoda.

— Przeczytaj jeszcze raz Julianie.

Juljan przedeklamował znowu.

— Powiedziałbym, — rzekł Edward, — że to najlepsze *Lamartina*.

— A dodam wam jeszcze, — rzekł pan Ignacy, że ani podejrzewać jój o naśladowanie nowszych poezyj francuzkich nie można, bo ich nie czyta. *Delile*, *Rassyn*, *Kornel*, to jój wzory wierszowania; a myśli i uczucia znajduje we własnej głowie, a najbardziej we własnym sercu... i wiesz co Edwardzie? wyborna myśl mi przychodzi. Co masz głowę łamać i nastrojać gwałtem twoją lutnię na niezwykle ci sentymentalne melodye, zwłaszcza, że to jest sztambuch Ludwika a nie Zosi, i Kupido po twych stronach brząkać nie będzie, — wolój przetłómacz te piękne sztrofki, ot tak wraz jak stoisz, i wpisz je tu; będzie to prawdziwa literacka pamiątka, i podwójna ozdoba pamiętnika. No, co na to mówisz?

— Prawda, myśl wyborna! — dodał Julian.

— Wyborna? to ją sam spełnij, — odpowiedział mu Edward, — ty sławny tłómaczu *Horacyusza* i *Bajrona*. Co za extrema w czasie i treści!

— Na ciebie los padł panie Edwardzie, — rzekł Ignacy, a sam biorąc pióro w rękę, dodał: — ja będę stenografem improwizacyi, Julianie, czytaj po jednej strofie.

— Julian zaczął z zapalem:

„Seigneur! on dit que le poëte....

— Dość! — zawołał powstając Edward, pamiętam wszystkie....

Tu oczy trzech młodzieńców nadzwyczajnym za-
jaśniały życiem... poezya ogarnęła ich... wszyscy

trzej czuli ją w sobie... Edward miał być tłumaczem nietylko francuzkich sztrofek, ale i stanu ich duszy... on powstał, i z całą siłą natchnienia, mówił jakby wiersz własny:

„Panie! mówią, że wieszcz umie
Pojąć cały świat widomy,
Że przenika, że rozumie
Głosy ptasząt, niebios gromy!

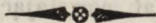
—

W pełni życia, w dniach zapału,
Pieśń, to puhar godowniczy!
Wzmaga roskosz, lecz w goryczy.
Ach! to strumień wśród upału!

—

Duszę w niebo zwie za sobą,
Lub moc uczy czerpać z siebie;
I jest może tylko próbą
Harmonii, co brzmi w niebie;“

Pan Ignacy zapomniał stenografować, Julian upuścił fajkę, obaj wzrok pałający utkwili na Edwarda; i oba rzucili mu się na szyję gdy skończył, klaszcząc w dłonie, śmiejąc się radośnie, i razem zwilżone ocierając źrenice.... Czytelnik przypomni sobie może, co to jest rzewna młodzieńcza wesołość!!!



V.

Przerwała to poetyczne uniesienie wchodząca do altany figura — staruszek łysy, czerstwy i szlachetnej twarzy, w chędogiej kapocie, a białe fartuch i nóż za nim, wydawał jego professyę.

Pocziwy to *Michał*, Kaleb dworu pana Ignacego — kucharz dziadowski. Traktował on niegdyś z panem wojskim trybunalskie publiki, a dziś wymyślniejszym gustom wnuka, często dogodzić nie mógł; ale i w takim razie młody pan ustępował z pobłażaniem, i ledwo nie z pokorą remonstracyom i upominkom staruszka, nagradzającego ojcowską prawie życzliwością i wiernością, zrzędę i upartą przewagę sługi.

— Moszczi dobrodzieju, — rzekł on wyszczerbioną mową, a dworsko i politycznie prostując się — Obiad?

— Ach! tak Michale, obiad. Dobrze byłoby abyś dziś sam o tém pomyślał, widzisz żem bardzo zajęty, — odpowiedział pan Ignacy.

— Dziękujemy panie Michale, za smaczne sucharki do kawy, — odezwał się Julian, chcąc udobruchać staruszka, bo oba z Edwardem znali go dobrze, jego cnoty i humory.

— Na zdrowie paniczom — odpowiedział kłaniając się z respektem.

— Otoż Michale, — mówił pan Ignacy, — obiadu dziś nie będzie....

— A to co znowu? — zawołał Julian — chcesz nam dać „*Bajkę* na obiad, *Ode* na wieczerzę!“ na to niema zgody; wszak wiesz com gdzieś napisał:

„Że jako prawy uczeń Epikura trzody,
Lubię i kuchnię smaczną i miękkie swobody;
Lubię, bom w niczém nigdy nie był stoik ścisły,
I co duszę zachwyca, i co łechce zmysły. (*)

— Mieć będziesz i jedno i drugie, ale na podwieczórek — rzekł gospodarz.

— Ale przegłodnieję, i nie będę miał apetytu; a co za tém idzie i dobrego humoru, — mówił Julian. — Pozwól tylko, ja sam pogadam z poczciwym Michałem. Ot tak bracie, — rzekł doń obracając się, — już to dzisiejszy podwieczórek narobi ci biedy; obiadek więc dasz nam krótki. Na pierwsze na przykład: *chłodnik z rakami*.

— Raków nie łapano, moszezi dobrodzieju.

— A niechże Bóg broni panie Ignacy, — zawołał Julian, — jaki u ciebie nieład! raków nie łapano, a rzeczka pod nosem. Wołajcie mi tu zaraz tego świstuna ekonoma, ja mu pokażę gdzie raki zimują, a tém bardziej gdzie ich latem łapać.

Edward z Ignacym śmieli się serdecznie z gniewu Juliana.

— No, ja raki biorę na siebie — mówił on dalej, — choćby mi przyszło samemu brodzić po uszy: *chłodniczek* tedy będzie, tylko nie żałujcie śmietany i jaj świeżych, po *ekonomsku*! *Probatum*, że naj-

(*) List drukowany do M. K.

smaczniejszy chłodnik ekonomiczny, zwłaszcza gdy *Imość* dla *Jegomości* przyprawia.

— Ale zdaje mi się, — mówił pan Ignacy, — że blat raków przydałby się i na podwieczórek, a nawet i stółby ozdobił.

— Co tobie w głowie? — opryskliwie odpowiedział Julian — co tobie w głowie? dziewczęta ani się dotkną raków. Chcesz aby piękne, różowe ich patuszki, łamały i kaleczyły się łamiąc twarde skorupy? Nie wdawaj się, proszę cię. Na drugie, mój panie Michale, *kurczęta*; troje tylko, po jednym na osobę. Ale zrób tak: jak się tylko dobrze na różnie podrumienia, zdjąć je, a tymczasem utrzyć na tarce chleba, zarobić go w masę z zimnem świeżem masłem, dla zapachu dodać trochę kopru; pokrajać piersi kurczętom, nakłść tam masy téj, i po wierzchu nią każde kurcze nałożyć grubo; potem na patelnię, drugą przycisnąć, i na kwadrans do gorącego pieca. Dajże to potem prosto z pieca na stół, broń boże nie rozbierając, a ręczę wam, że i sultan *Wampun* obżartej pamięci, nie nigdy tak smacznego nie jadł.

Na *trzecie*, coś lekkiego mój Michale; naprzykład *omlecek*, to jest jęczniczkę na świeżej słonince, zielonym szczypiorkiem cebulki i pietruszki potrząśniętą. Bo to widzicie, jęcznica u nas prosta potrawa, a gdym raz w Warszawie u *Chovota* pod kolumnami, *dans le grand salon de gastronomie*, bo taki szumny był jego szyld, kazał sobie z arkuszowej karty dać „*omelette aux fines herbes*“ rozumiejąc że to coś osobliwszego, to mi podano naszą pocztową litewską jęcznicę, taką zupełnie jaką informuję,

z różnicą, że prawdziwie po francuzku, bo diabelnie mało na talerzu. No, więc obiadek będzie, mój kochany panie Michale, — kończył słodziutko Julian, gładząc starego pod brodę.

Michał stał ze spuszczonei oczyma i milczał. Nie dobrze to wróżyło. Podjął nareszcie głowę i obracając się do swojego pana. — Czy jegomość dobrodziej nie pofatygujesz się ze mną? — rzekł.

— Mój poczciwy Michale, wiem co mi będziesz gadał, — odpowiedział pan Ignacy, — wiem że mnie będziesz gdérał, że gości pozapraszał, nieporadliwszy się z tobą o zapasach naszej spiżarni; ale to już nic nie pomoże, goście będą. A że tych paniczów, jako moich przyjaciół nie uważam za gości, więc wolę wszyscy razem radzić będziemy o podwieczórku dzisiejszym. Widzisz, że pan Julian zna się na kuchni, on nam bardzo pomoże: mów więc otwarcie czego nam brakuje?

— Wszystkiego moszczi dobrodziej.

— Jak to być może panie Michale? — rzekł Julian, — przecież nas karmieś chwała Bogu dobrze, i jedliśmy wysmienicie.

— I zjedliśmy wszystko, to rzecz naturalna — odezwał się Edward z uśmiechem, przerywając wpisywanie do sztambucha swego przekładu, które w czasie tych gastronomicznych konsyliów zaczął; — a ztąd łatwa — mówił dalej — dyspozycja podwieczórku: *Nic*. Pamiętaj wszakże panie Michale, że jedna z mających tu przybyć panienek, bodaj będzie twoją panią.

Argument trafił widać do celu; bo stary jakby

się ocknął i bystro spójrzał w oczy panu, niby zapytując, czy prawda?

Pan Ignacy się uśmiechnął: — jakże mój Michale? odpowiedziałeś mi ni w pięć ni w dziewięć: wstyd mi za ciebie; przecież nie jesteśmy pustodmki. To chcesz, abym się wstydził, martwił i zachorował ze zmartwienia? — Te ostatnie słowa tak sentymentalnie wymówił pan Ignacy, że w mgnieniu oka z mrukliwego dziada zrobił się najpowolniejszy sługa.

— A niech Pan Bóg broni moszczi dobrodzieju, gdybyś pan zachorował! nie dbaj pan, znajdzie się wszystko co potrzeba. Mamy mięso, mamy i kurczęta, mamy cytryny, mamy oliwki, kapary i limonie, (byli to najosobliwsze i jedyne w owym czasie zaprawy kuchenne), a z kanału, moszczi dobrodzieju, można wziąć czy szczupaka, czy karpia, a jest i kilka pęczków tej trawy, którą teraz podobno panowie lubią, ogrodnik mnie dziś przyniósł pierwszy raz, ale ja jęć gotować nie umiem.

— Jaka trawa? — zapytał Julian.

— On to mówi o szparagach — rzekł Ignacy.

— A ja cię nauczę panie Michale, jak tę trawę gotować i dawać. Łaska Boga! jest jak widzę dostatek wszystkiego, więc będzie i obiad i podwieczorek kochany Michale, — mówił Julian, zacierając ręce.

— Będzie moszczi dobrodzieju, będzie; tylko nie według dyspozycji jegomości, bo kurczą.... nie można expensować, ale będzie chłodnik i zrazy.

— No, mój Julianie, — rzekł Ignacy, — musisz

dziś zmodyfikować twój apetyt, i część jego na podwieczórek zachować.

— Cóż robić? Bóg świadkiem, dobra ze mnie dusza, — odpowiedział wzdychając Julian. — Cygan dla przyjaźni dał się powiesić, więc ja dam się wygłodzić. Mówmyż o podwieczórku panie Michale.

— A na wiele sztuk? moszczi dobrodzieju?

— Jakto na wiele sztuk? czy osoby na sztuki rachujesz?

— Nie moszczi dobrodzieju, wiele sztuk stołu zastawić półmiskami?

— A! dawny obyczaj, znać starego kuchmistrza. Nie, mój Michale, — mówił Julian, — policzymy piérwój wiele będziemy mieli półmisków, i co na nich damy? a potém łatwiej stoły zastawiać i rozsuwać.

Niechaj sobie i tak moszczi dobrodzieju. Na środku staną na wielkim blacie biszkekty...

— Ej, to znowu po dawnemu — przerwał Julian.

— Jakto moszczi dobrodzieju, bal bez biszkekotów? Da fe!

— Ale bo to nie bal mój Michale, ale podwieczórek tylko, powinien być krótki a smaczny.

— To moszczi dobrodzieju, jak dawniej *per modum podkurek*?

— Co to jest *podkurek*?

— Ehe! — już i zapomnieli o podkurkach, — rzekł Michał trzęsąc głową — to moszczi dobrodzieju bywało u pana starosty Burzyńskiego, ot tu blisko

w Wojstomiu, jak zbierze się kompania, a całą noc piją i tańczą, o pierwszych kurach przededniem, trzeba było zastawić stół, ale na cztery sztuki tylko; to znaczy jak jegomość dobrodziej powiadasz: *krótko a smaczno*. Mnie nieboszczyk pan mój oddał tam na naukę do kuchmistrza niemca. Aj, pamiętam ja tego szoldrę! cały dzień napracowawszy się bywało, zaleziesz gdzieś w kącie na noc, a tu niemiec ciągnie za uszy i wrzeszczy— „*Michałka kanalja szpi! a podkurka?*“ bo i niemcowi nie było żartów z marszałkiem naszego dworu panem rotmistrzem Ławrynowiczem; raz go trzecią swoją marszałkowską wyłatał za to tylko, że jednostajnym sosem dwa półmiski podlał. Aj, był to moszczi dobrodzieju, całą gębą marszałek! *personat!* kiedy bywało w gredyturowym kuntuszu, z pasem litym i z szablą, wyjdzie na ganek, a pokręci węża.... to cały dwór *czuj-duck!* To kiedy ustawi podkurek na stole w sali, krzyknie bywało: *wołać kogutów!* więc nas chłopców prą z kuchni do pałacu, i my jak wrzaśniem pod oknami: *kukuryku! kukuryku!* to cała kompania w pokojach, choćby w tańcu, zastanowi się, a pan marszałek nasz wchodzi pięknie, i stuknąwszy laską powiada: „*kur na podkurek prosi*“, drzwi do sali otwierają się, a on idzie naprzód i prowadzi całą processyę. Potem pan Ławrynowicz po śmierci pana starosty Burzyńskiego, przeszedł na marszałka do P. wojewody Żaby; a potem, co jemu stało się! Zajeżdża tu raz do nas na dziedziniec bernardyn kwestarz — patrzym — w imię Ojca i Syna! aż to nasz pan marszałek, pan rotmistrz Ławrynowicz.

Jegomość nieboszczyk nie mógł się oddziwować; musi być taka była wola Pana Boga; zatrzymał go dni z pięć, i za każdy dzień dał mu po baranie. Bywał potem co rok u nas, i bywało....

Juljan widząc, że stary gaduła nie rychło skończy, przerwał jego legendę, i zwrócił się do głównego przedmiotu.

— Ale mój Michale, wiemy już o podkurkach, idzie o podwieczórek. Biszkoktów nie trzeba; cztery półmiski mój bracie, to i dość. Ot tak: kurczęta, karp' na zimno, szparagi, i coś lekkiego czwartego wymyślim.

Edward, który dotąd pisał w obu sztambuchach,— rzekł powstając i kładąc pióro — zapominacie o głównej rzeczy. A wino? przecież wypić trzeba będzie zdrowie, *primo*: solenizantki, *secundo*: wszystkich dam, *tertio*: pana kapitana, wojaka z nad Elby i Renu, i na koniec *quarto*: kochajmy się! A do tego toastu trzeba będzie zmusić, aby piękne usteczka choć po kropelce zakosztowały; będzie to *philtrum* na zniszczenie się hasła toastu.

— O! po czterech toastach, i po takim hasle, dojdziemy może aż do tego, że z trzewiczków pić będziemy — rzekł Juljan.

— Ale zapytajmy wprzód Michała, czy będzie co?

Pan Ignacy spójrzał niespokojnie na starego, i nieśmiało go zapytał — Wieleż mamy wina?

— Butelka jedna cała, moszczi dobrodzieju, i w drugiej troszeczką....

— Lury ze *Smórgoń*,— rzekł Edward śmiejąc się.

— A wino stare dziada mojego, z żółtą pieczętką?

— Oho! kiedy już jego niema! Wszak pan wieśz, że Francuzi wszystko wypili. — To mówiąc stary, mrugał na pana, aby zakłętego skarbu nie wydawał.

— Co bredzisz? — rzekł obruszony pan Ignacy — kiedy to już byli Francuzi, a ja niedawno jeszcze widziałem w sklepie kilkanaście butelek tego wina.

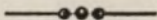
— Jak na lekarstwo, moszczi dobrodzieju, jak na lekarstwo.

— No, to będziemy się leczyć, — rzekł Julian, — a nie żałuj dając panie Michale, bo lekarstwo nie pójdzie na zdrowie. Wszystko się wyśmienicie układa! Idź teraz bracie i zawiń się koło kuchni. Do kurcząt i szparagów, ja sam przypaszę fartuch; a podziękujemy ci wszyscy.

Stary odszedł gładząc łysinę.

— Proszę cię Julianie, — rzekł Ignacy — nie ustawaj w dobrej chęci, pilnuj starego mruka; wszystko zdaje na ciebie.

— Bądź spokojny, — odpowiedział Julian, — pójdzie wszystko jak z programy.



VI.

Po tém walném i z dobrą nadzieją odbytém *conci-
lium*, zwrócono się znowu do przerwanéj pracy.

— Ja moje skończyłem, rzekł Edward. — Ludwice wpisałem obok textu francuzkiego, improwizowany wolny przekład tych pięknych sztrofek. A Zosi powinszowanie imienin. Teraz na ciebie kolej Julianie.

Juljan wziął pióro w rękę, podsunął sobie sztabuchy, i namysławiając się—Cóżby tu wpisać?—mówił.

— No, dla Ludwiki,—rzekł potem,—która śpiewa jak słowiczek, wpiszę moją *Barkarollę* (*), piosenka, której nie znacie jeszcze.—Wpisał więc i potem czytał:

„Po dolinie
Brenta płynie,
Po niej płynie cień gondoli;
Z szumem wiosła
Fala niosła
Tęskną nótę *Barkarolli*.
—

Moja luba,
Dziewic chluba!
Gdzieś mnie czeka na kruzganku;
Łamie dłonie,
We łzach tonie,
Myśli, marzy o kochanku.
—

Troska dzienna,
Noc bezsenna,
Z nas jak upiór krew wysysa;
Aż nim skroni
Nie osłoni
Grobowego cień cyprysa.
—

(*) *Barkarolla*—Pieśni w języku gminnym weneckim.

Każdą nocą,
 Z chmur migocą,
 Wciąż na ziemię patrzą gwiazdy;
 Jak świat światem,
 Zimą, latem,
 Nieskończone kończą jazdy.

Rosy leją,
 Lecz nie mdleją,
 Jak płaczący w smutku człowiek;
 Nie kochają,
 Łez nie znają,
 Nie wypłaczą złotych powiek.

Serce chore
 W nocną porę,
 Jak kwiat nocny się otwiera;
 Bo rozpacza
 Bez słuchacza,
 Miłość czuła, przyjaźń szczerą,

Płyn, płyn łodzi,
 Księżyc wschodzi,
 Ot, i luba na krużganku!
 Łamie dłonie,
 We łzach tonie,
 Myśli, marzy o kochanku.

Blask księżycy,
 Pięknej lica,
 Kołem światła opromienia;

Gdy ją zoczył,
Na brzeg skoczył,
I zmieszali łązy, westchnienia.

Po dolinie,
Brenta płynie,
Po niej pływa cień gondoli,
Lecz omdlała
I skonała,
Tęskna nota Barkarolli."

Piękna jest, rzewna i śpiewna twoja *Barkarol-
la*, — rzekł Ignacy —, „*Po dolinie Brenta płynie*, ale
wybaczaj, ja wolę:

„Potok płynie doliną,
Nad potokiem jawory” i t. d.

naszego poczciwego a tkliwego kochanka Justyny;
to nasze! to prawdziwie nasze!

„Raz się chmurka zebrała,
Piorun skruszył dębiny:
Tyś mię drżąca ścisnęła,
Mówiąc: z tobą nie zgine!

— Jaki miły obrazek!... lękliwe dziewczę tuli się
do łona swego ulubionego.... drży.... ona z boja-
źni.... młodzieniec drży z rozkoszy i szczęścia, czu-
jąc jój serce tak blisko własnego bijące!... Mój
Boże, mam tu potok, mam dolinę, stoi blisko dąb
stary.... oby mi choć raz taka się chmurka ze-
brała!...

Uśmiechali się słuchacze, a pan Ignacy z zapa-

łem powtarzał:—To nasze! to prawdziwie nasze! to matki nasze śpiewały....

— A żony i córki śpiewać nie będą — odpowiedział Julian.

— Niestety! tak jest — rzekł wstrząsając głową Ignacy.—A czyjaż w tém wina?

— Czyjaż, jeżeli nie wasza? — odezwał się seryo Edward — wy Koryfeusze i niepoprawieni naśladowniki francuszczyzny! wy kanarki na turlecikach paryzkich wyuczone płochych nót, w których ani uczucie prawdziwe, ani serce nigdy się nie odezwało!...

— A wy! wy nowe stado szpaków niemieckich! — zawołał również seryo Ignacy—*insperate* na nas naleciało, i gwiżdżące nam przeraźliwie nad uszami: „*Mein liebster Augustyn!*“

Śmiech głośny Juliana, i potem wszystkich trzech razem, przerwał te wzajem rzucane sobie inwektywy.—Ale—deklamował dalej pan Ignacy—ale

„Jak Arabi skwarem spiekle,

Miotają bluźnierstwa wściekle

Przeciw słońcu co je pali;

Próżne wycia, marne wrzaski!

Wrą pod ich nogami piaski,

Słońce posuwa się dalej! (*)

— *Sta sol! ne movearis!* — wykrzyknął Edward wyciągając rękę; — a nawet to twoje wspaniałe porównanie, bardziej na naszą jest stronę; bo to wy *klassycy*, wy *Arabi spiekle*, miotacie *bluźnierstwa*

(*) *Koźmian*. Oda na zawarty pokój w Tylży.

wściekłe, na wschodzące jasne słońce naszego młodeńczego ducha, i deklamował z zapalem:

„Niechaj kogo wiek zamroczy,
 Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
 Takie widzi świata koło,
 Jakie tępemi zakreśla oczy.
 Młodości! ty nad poziomy
 Wylatuj, a okiem słońca,
 Ludzkości całe ogromy
 Przeniknij z końca do końca!....
 Tam sięgaj, gdzie myśl nie sięga,
 Tam, czego rozum nie złamie!
 Młodości! orla twych lotów potęga,
 Jako piorun twoje ramie!...
 Hej ramie do ramienia! zgodnemi łańcuchy
 Opaszmy ziemskie kolisko,
 Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
 I w jedno ognisko duchy!
 Dalej z posad bryło świata,
 Nowemi cię pchniemy tory,
 Aż spleśniałej zbywszy kory,
 Edeńskie przypomnisz lata! (*)

— Co to jest? — zapytał skwapliwie Ignacy — co to jest? to dalibóg pięknie!

— A co? — rzekł Edward — *Oda* naprzeciw *Ody*, porównaj!... Ale powiedz mi, zkąd ci te niemcy wleźli w głowę? zkąd myślisz, że idziemy w ich tropy?

— A jakże inaczej sądzić? — odrzekł pan Ignacy — słysząc jak u was bezustannie *Birger*, *Gete*, *Szyller* z ust nie wychodzą. Ty sam czyż nie wytłómaczeniem *Ballady Myśliwca*, *Birgiera* zacząłeś

(*) Oda do Młodości.

swą romantyczną karierę? i dowiodłeś, żeś *relapsem* od naszej świętej klassycznej wiary.

— Tłómaczenie, mój panie, nie jest naśladownictwem — mówił znowu Edward; — *piérwsze*, zawsze pięknie wzbogaca wszelką literaturę, gdy obce, nie fraszki ulotne, ale arcydzieła, daje poznać swym ziomkom; *drugie* wszelką literaturę najczęściej kazi i szpeci, bo jest małpiarstwem szkodliwém nawet duchowi narodowemu, gdyż go wykrzywia, i dając cudze za własne, uwodzi nieoględnych, lub niedojrzałych czytelników. Tym właśnie sposobem zepsuła nas i zdemoralizowała literatura francuzka, filtrując się w naszą rodowitą, jak subtelna trucizna do codziennego zdrowego napoju.... i rzecz dziwna, ty, co się tak unosisz nad piosenką Karpińskiego, dla tego że jest naszą i prawdziwie naszą, trzymasz się jednak oburącz szkoły, w której wszystko nie nasze, wszystko, mówiąc twoim wyrazem, jest na cudzym tropie. Prawdzi się mój kochany na tobie przysłowie: „*Nałóg drugą naturą*.“

— A co? — rzekł Julian uśmiechając się, — przyparł cię Edward i wierszem i prozą, jak podwójnemi widłami do płotu.

Pan Ignacy pokręcił głową. — No, — rzekł potem, — ponieważ zapieracie się niemieckiego pochodzenia, choć mówiąc *intra parentesim*, mógłbym, sięgnąwszy wieków średnich, dowieść wam tego historycznie, ale toby nas daleko zaprowadziło; to przynajmniej względem Litwy, względem Wilna dam wam pytanie z Grammatyki na klasę piérwszą, stosując je do romantyzmu: „*Unde veris? quo*

tendis?“ (*) bo mnie się dotąd zdawało, że idziecie z Niemiec, a dążycie prosto do piekła, i to bardzo naturalnie. Bo naprzód w naszym popularnym wyobrażeniu, diabeł i niemiec w bardzo blizkiej konksyi, a powtóre, w waszych balladach macie najwięcej do czynienia z marami piekielnemi, więc „*kto z kim przestaje, takim się sam staje*.“

— A widzisz; — rzekł Edward, obracając się do Juliana, — przyparłem go jak widłami do płotu, a on *hec* konceptem za płot... ale to nic nie pomoże mój panie, i tam cię dosięgnę. Abyś mi więc dowiódł, że w naszym litewskim romantyzmie ani krzty niema niemieckiego pierwiastku, i razem odpowiadając na pierwszą część twego grammatycznego zapytania *unde veniemus?* opowiem ci po krótkce historią romantyzmu między nami, i historią pierwszej ballady w Litwie.

„Nie z niemczyzny, nie ze szkoły, nie z książek, nowa nasza powstała poezya: wypłynęła ona z tych samych źródeł, co i wszystko dobre pomiędzy nami, to jest między naszą obecną młodzieżą. Źródłami temi są: zamięłowanie rzeczy własnych, zastanowienie się nad samemi sobą, prawda uczuć i myśli, a nadewszystko miłość, i z niej natchnienie. Ten sam, który dziś między nami jest jakby głową i sercem, bo nas wszystkich w jednym uczuciu prawdy zjednoczył, autor *Grażyny*, jest i

(*) Zkąd przychodzisz? dokąd dążysz?

piewszym wskrzesicielem nowej idei w poezyi. Wszyscy przybywający na uniwersytet, którzy w szkołach już pisali wiersze, ani słyszeli nawet o poetach niemieckich, a szli na oślep za przykładem współczesnych starszych współbraci; to jest, tłómaczyli lub naśladowali z francuzkiego, a już najwięcej kiedy z łaciny. *Adam* w szkołach Nowogrodzkich wierszował z polskiej prozy Kamińskiego; *Numę Pompiliusza*, *Floryana*; ja także i tymże samym sposobem, zrymowałem w *Borunach* całe dwie księgi *Gonzalwa z Korduby*, tegoż samego autora, i tegoż samego tłómacza. W Wilnie, dawny twój professor *Słowacki*, i nasz czciogodny pan *Leon* (*Borowski*) wiesz że tylko w klasycyzm wierzyli, choć już dziś ten ostatni, sam obeznawszy się gruntowniej z nowszą literaturą Europy, i pokonawszy w sobie dawne uprzedzenia, skarby jej przed nami otwiera; i tylko pod względem zdrowej logiki, smaku i poprawności stylu i języka, co naturalnie i w każdej poezyi głównie na celu mieć należy, surowo zasad klassycyzmu przestrzega. Ale przed kilką jeszcze laty, tolerancyi tej zgoła nie było. *Horacyusz*, *Boileau*, *Laharpe*, to byli jedyni prawodawcy w poezyi i krytyce, których jak sam professor, tak i uczniowie ze ślepą wiarą słuchali.

„Dopiero pierwszy pan *Tomasz* (*) innemi naukami na *serio* zajęty, a miłujący tylko poezję jako rozrywkę, który z niej ani o chwale dla siebie, ani o niej jako o sztuce nie myślał; uprawiał ją

(*) *Tomasz Zan*, niedawno zmarły.

po swojemu i podług natchnień swojego serca, nie troszcząc się o przepisy książkowe, kochając wszystko i wszystkich. Każde miłe wrażenie które zewsząd wyciągać umiał, pragnął wnet z kolegami podzielić; za środek zaś ku temu obrał poezję. Opisywał zatem wierszem swoje własne uczucia i myśli, swoje rekracye i przechadzki, swoje wakacyjne zabawy, różne drobne rzeczywiste zdarzenia, i czytaniem ich przed przyjaciółmi, ożywiał ich wieczorne zebrania. W wierszach tych na pozór lekkich, tyle było powabu, tyle wdzięku i uczucia, tyle niekiedy rzewności szczerzej i tkliwej, że jedną z jego Elegij na odjazd panny *F...* pensyonerki z którą przez cały rok w domu wspólnych przyjaciół, zwykle dni niedzielne przepędzał, i szczegóły właśnie tych niewinnych zabaw opisał, Adam nosił zawsze aż do zupełnego zszarzenia się przy sobie i czytając powtarzał: „nie sądziłem, aby „w potocznych szczegółach rzeczywistości, mogło „być tyle skarbów poezyi.“ Myśl ta utkwiała w jego duszy, i pojęcie o *prawdzie w poezyi*, albo raczej o *poezyi w prawdzie*, z potocznego w duchowe życie przeniosła. Zasada więc ta wyrodziła się wprzód w myślach i sercach naszych, niżeli oznajmiam się i zgłębiać zaczęliśmy poezję niemiecką i angielską, w których właśnie tenże sam pierwiastek znajdował się; a wyrodziła się, jak widzisz, nie ze szkoły, nie z książek, nie z prostego naśladowania Niemców lub Anglików, ale z życia, z prawdy, z miłości, czyli jednem słowem z natchnienia, które przez jednego, za łaską Bożą, na nas wszystkich spłynęło.“

Umilkł Edward. Ignacy słuchał go z uwagą, siedząc przy stoliku z głową opartą na dłoni.—Tak!...—rzekł potem przeciągle i z zastanowieniem—tak.... a ballady?

—„Ballada, mój kochany,—zaczął znowu Edward,—jest tylko jedną z form, którą od obcych przyjęliśmy dla tego, że się być zdała stosowną do wydania w niej własnych naszych religijnych pojęć i podań ludowych, wspólnych o tyle wszystkim narodom chrześcijańskim, o ile jest wspólny niekiedy ton pieśni i baśni gminnych, z których właśnie powstały ballady. Zresztą, samą tę formę i nawet nazwanie ballady nie bezpośrednio naprzód wzięliśmy od Niemców. Chcesz? to ci powiem jak to się stało?

„Na tym samym kurytarzu w murach Śto-Jańskich, gdzie mieszkali pan *Adam*, pan *Tomasz* i najbliżsi wówczas ich przyjaciele, *Czeczot*, *Jeżowski* i Franciszek *Małewski*, mieszkał też syn profesora literatury Rossyjskiej *Czerniawski*, chłopiec młody, żywy, wesoły i ulubiony przez wszystkich. Ten więc razu jednego, gdy wszyscy byli razem zebrani, wpadł do nich z uniesieniem, i z nowo wyszłą natenczas balladą *Żukowskiego* „*Ludmiłła*“ mistrzowskiem tłumaczeniem, a raczej przetworzeniem ballady *Birgiera* „*Lenora*“ napisanej, jak widać, przez niego z pieśni gminnej, wspólnej i naszemu ludowi, tak dalece, że też same głównejsze zwrotki znajdują się w niemieckiej i w naszej. (*) Okoliczność ta ró-

(*) Miesiąc świeci,
 Martwiec leci,
 Sukieneczka szach, szach,
 Panienczko, czy nie strach?

wnie jak urok samej poezji, uczyniły na wszystkich jak największe wrażenie, i pan Tomasz zaraz na-
 zajutrz napisał swoją *Nerynę*, pierwszą balladę w języku polskim, za którą wkrótce nastąpiły jegoż *Cyganka*, *Pan Twardowski*, a dopiero po nich *Świtezianka*, *Lilie* i t. d. napisane pierwój, niżeli niemieckie ballady w oryginale tu poznane zostały. Widzisz więc panie bracie *unde veniemus*; a co do samej ballady, widzisz że ona nie jest ani martwem naśladowaniem książkowej litery, ani prostém naśladowaniem cudzoziemców; że źródło nawet pierwszego do niej natchnienia naszego, na sławiańskiej wytrysnęło ziemi.“ (*)

Pan Ignacy, który i w najpoważniejszej rozmowie nie mógł zatrzymać konceptu, gdy ten mu się na myśl nawinął, powstał z miejsca i zawołał z przesadą:
„C'est du nord à present que nous vient la lumière!“

Edward machnął niecierpliwie ręką:

— Wolter! czysty Wolter! — i rzekł dalej: — witam w altanie duch nieboszczyka arcy-mistrza kłamstw i konceptów, którego ty naśladujesz wiernie, bo i on gdzie nie mógł przekonać, to się wydrwił.

— Posłuchajcie,—ozwał się nakoniec Julian, który dotąd palił fajkę w milczeniu,—posłuchajcie mnie.

*Der mond der scheint so helle,
 Die Todten reiten so schnelle,
 Graut Liebchen auch dir nicht?*

(*) Ustęp cudzysłowem oznaczony, jest dosłownie P. Edwarda.

Wpadliśmy, jak widzę, niespodzianie w dysputę, na którą nas wyzwalaś panie Ignacy. Edward ją historycznie rozpoczął, kontynuujmy więc nie żartem. Jesteśmy młodzi, widać „*sic fata tulerunt*,“ że wszyscy trzej tak lub owak, mniej lub więcej, należec mamy do nowej ery literatury i poezyi, która oto teraz po całej Europie, i u nas bodaj szczególnie w litewskich talentach się objawiła. Dla czegożbyśmy więc nie zwrócili poważniejszej uwagi na to, co się około nas i z nami dzieje? dla czegożbyśmy nie rzucili okiem na punkt z którego wychodzimy, i na horyzont, który się przed nami otwiera.

— Oho Julianie! *ex cathedra* kontynuujesz lekcye Edwarda.

— Czyliż mię słuchać nie chcesz?—zapytał Julian.

— Jakto słuchać nie chcę? owszem słuchać będę z uwagą i roskoszą. Maszże mię za upartego pedanta, który wierzy tylko sam w siebie, i mniema że wszystkie rozумы pojadł? *Mów abym cię poznał*, powiedział jakiś filozof.

— A potem konceptem odbił przekonanie,—dodał Edward uśmiechając się.

— Otoż, pytanie tve panie Ignacy, — rzekł Julian, — na żart rzucone, jest, zdaniem mojem, najwłaściwszém przy objawieniu się każdej nowej idei w towarzystwie: *unde venis? quo tendis?* Tém bardziej teraz, gdy w ważnej kwestyi naukowego interesu wszędzie już nastąpiło przesilenie, a u nas trwa jeszcze jakaś walka form starych, naprzeciw nowym fantazyom, a raczej zarozumiałej pedanteryi, naprzeciw porywczej młodości; bo w tych dysputach dzisiejszych, dotąd jeszcze, zda mi się, treści

nie dotknięto. Walka ta wszakże wkrótce ustać musi, zwłaszcza u nas w Wilnie, bo jeden jeszcze tylko pan *Gulbi* (*) z butną poniewierką rzuca na młodzież szubrawskie sarkazmy; a tymczasem młodzież ta pełna nauki i zapału, przeszła już cała na szlak nowych idei, opanowała uwagę publiczności, osypując ją oklaskami, zachęcającą współczuciem. Walka więc ustanie u nas „*faute des combattans*“ jak mówią Francuzi. Nie idzie jednak zatém, ażebyśmy lecieli na oślep nie wiedząc i sami zkąd i dokąd? dla tego że nam nikt nie zawadza.

Klassyczność, Romantyczność—Ballady, Legendy! I cóż to wszystko znaczy?... Nazwy, imiona, tytuły i nic więcej, bo jużciż nic bez nazwania być nie może; ale superficyalne tylko i niedojrzałe pojęcia biorą je za godła prac swoich, i do nich się przywiązują. Duch, nie forma stanowi poezję i *Ludmiłła* Żukowskiego dla tego tylko wspominaną być może w dziejach tu naszej poezyi, że jak ci to Edward powiedział, ona pierwsza jak iskra dotknąwszy nagromadzonych już i przygotowanych uczuć wewnętrznych w młodych sercach, rozpłomieniła je. Duch ten gotowy do wybuchu objawiał się już śmielszym polem, śmielszym językiem i głębszym interesem, w utworach tychże samych młodych a prawdziwych talentów, pod wpływem jeszcze dawnych idei piszących (**). A zkąd on do nas niewiedomie przyszedł,

(*) Szydłowski, w Towarzystwie Brukowych wiadomości nazywający się *Gulbi*.

(**) Poemat *Warcaby*, wiersz do professora Historii powszechnéj. *A. M.*—Poemat *Góra*, *A. E. O.*—Poemat *Zgon tabakiery*, *T. Z.*

unde venit? zapytaj całej Europy: z kąd upadek racjonalizmu XVIII-go wieku, który wszelkiój literatury i sztuki był dotąd treścią, a nawet dla poezyi formy i granice określał?

— A tak mój panie, — przerwał Ignacy, — „*est modus in rebus, sunt certi denique fines*“ (*) jeżeliś nie zapomniiał jeszcze Horacego, i mniemam że w tej sentencji jest prawda.

— Prawda, że jest prawda, — mówił znowu Julian — *sunt fines*, są granice, ale nie jednakie dla wszystkich. Różnica zasady, determinuje różnicę drogi, i różnicę jej granic. *Klassycyzm* na wzorach Greków i Rzymian się ukształcił, z ich *Teogonii* zrobił swą wiarę poetyczną, ich prawideł ściśle się trzyma, i we wszystkich swych wyższych utworach wzywając natchnienia cudzych bogów, w których naturalnie nie wierzy, niema rzeczywiście natchnienia; ale jest prostém tylko naśladownictwem, i prostą robotą rozmysłu i stylu.... Natchnienie, mój panie, prawdziwe natchnienie, przychodzi jedynie z tego, w co się prawdziwie wierzy i ufa! z czém duszą naszą zjednoczeni jesteśmy! co nas w głębie nieskończoności unosi! lub w sercach naszych tkliwym głosem głębokiego także wzruszenia się odzywa!...

— Te wszystkie źródła prawdziwej poezyi, — rzekł znowu Edward — objawia nam i ofiaruje religia. Gdzie niema religii, tam niema i poezyi, która jest razem i darem i najszczytniejszym wyrazem religii.... Wiek XVIII-ty zatem wyzuty z jednej, nie mógł mieć i drugiej. Poezyja jego, to jest *klassycyzm*, nie mia-

*) Jest pewny sposób w rzeczach, są nakoniec pewne granice.

ła duszy, a zatem nie miała i prawdy!... Będzie ona obrazem wieku, nigdy obrazem ludzkości!!! Dziś poezya we wszystkich ludach chrześcijańskich, musi stać się religijną, a zatem będzie narodową, bo Religia jest narodowością powszechną! będzie popularną, bo się złączy ze wszelkimi uczuciami i podaniami ludów; a pierwiastek religijny wszędzie i zawsze w tych podaniach ukryty, z wdziękiem i słodyczą rozwinie! Dziś...

— Stój! stój! — przerwał Ignacy — nie postrzegłeś się, że mi proroczą deklamacyą odpowiadasz już na drugą połowę mego grammatycznego zapytania *quo tendis?* dokąd dążysz? Wypowiedzieliście mi wszelako rzeczy niepowszednie, nad którymi nie zastanawiałem się dotąd; pojęliście dobrze swoją zasadę. Zaczynam nie wierzyć w definicyą Golańskiego (*) — mówił uśmiechając się: „*Co jest poezya? jest naśladowanie natury.*“ Ale mój kochany Edwardzie, rzucaś wnioski wielkiego znaczenia, nie dość, zda mi się, złączone z samą zasadą, rzucaś jakby tytuły rozdziałów wielkiej treści, której dowodzić jeszcze potrzeba.

„Związek religii z poezją. Brak religii a zatem i poezyi w XVIII-tym wieku. Klassycyzm nie miał duszy, a zatem i prawdy. Będzie on obrazem wieku, nigdy obrazem ludzkości...“ Oto są twoje rozdziały.

— Rozdziały te, — ozwał się znowu Edward, — napisze czas w dziełach gieniuszu i talentu, w dziełach mistrzów sztuki... Po wzorach, pójdzie potem jak

(*) Dzieło X. Golańskiego o wymowie i poezyi, z którego dawniej uczono po szkołach.

zwykle rozważa i nauka; ona rozwiąże kwestye, które my dziś uczuciem bardziej niż rozumowaniem pojmujemy. Ona zapełni pozorne przerwy, któreś między wnioskami naszymi upatrzył, treścią z dziejów społeczeństwa, i z dziejów serc i umysłów ludzkich. Uderzające nas dziś nowością zdania i pojęcia o poezyi i sztuce w ogólności, staną się wtedy komunałami, dla tego, że oczywistość ich uznaną i upowszechnioną będzie, a powtarzający je natenczas nie zjedna najmniejszej uwagi, tak jakby kartę dawniej gazety czytał.

My dziś stajemy na pierwszej mecie wielkiego szlaku, po którym swobodnie bujać i unosić się będą talenta narodowe. Wielkie przykłady już dane, bo i my, że zastosuję tu parę wierszy ze znanego powszechnie a wybornego rymu, bo i my już

„Przeszliśmy z klasycznego lskniącego się czystu,
Do *Geadów* zamkniętych na klucz z ametystu.”

Tą *Geadą* jest serce ludzkie, klucz z twardego a szlifowanego ametystu, to klasycyzm, który je zamykał.... Otwarte nakoniec, okazało nam tajone w niém dotąd nieznane, a raczej zapomniane bogactwa i skarby, których, sami w sobie nosząc, użyć nie umieliśmy.

—Przepraszam pana,—przerwał Ignacy—dawnożes pan dobrodziej złapał to piękne porównanie? tę figurę retoryczną?

—Oto teraz do usług pańskich,—odrzekł Edward z ukłonem.—Zapewne nie dość klasyczna, nie wymierzona cérklem, nadto śmiała?

— Ha! śmiałość jest dziś waszém godłem—odpowiedział Ignacy;—ale powiem wam, że w tém co tak pięknie pojmujecie i wyrażacie, jest więcej wróżby niż dowodu, niż gruntownego rozważenia. Zapal młodzieńczy i poetyczny unosząc was, góruje w rozumowaniach waszych.

— Bo ci nie *prelekcyę* mówimy—rzekł Julian,—bo może dziś w całej Litwie nie znajdziesz jeszcze ani jednego literata, któryby w téj materji na kurs porządny mógł się zdobyć. My mówimy co czujem, oznaczamy punkt, pierwszą metę, jakem ci to powiedział, dzisiejszych myśli i przekonania naszego, we względzie wielkiej i ważnej przemiany ducha, dopełniającę się w krainie literatury i sztuki. Jak zaś ta przemiana dalej pójdzie? w jaką główną ideę się skupi? jak wpłynie na społeczeństwo? i wzajem społeczeństwo na nią? jak wpływanie na nas samych? czém się sami dojrzewając staniemy? co wyczerpniemy z ogólnego dążenia, i czém się doń przyłożymy? słowem czem służyć będziemy „*pocziwój sławie*“ i ziomkom, jeżeli nam Bóg życia i zdolności udzieli — tego dziś ani wywróżyć, ani zgadnąć nam niepodobna. Dziś poglądamy naprzód, doczekajmy chwili gdy się w tył obzierać będziemy; wtenczas zdamy sobie sprawę z prac i usiłowań naszych, jak dzisiaj zdajemy z nadziei.

Umilkli tu wszyscy trzej. Julian „gęste dymy, „ciągnąc z cybucha, modrym się okrył obłokiem,

a Ignacy chodził zadumany po altanie.... Nakonec obrócił się i zawołał:

Cudo przemiennego wieku:

Stary rozum w młodym człoku!"

Powinienbym powiedzieć: w młodych ludziach, ale nie byłoby kadencyi, i to nie mój koncept, wyjątek to z dłuższego wiersza białoruskiego a dowcipnego poety *Rysińskiego*, którego widać jakiś młodzik; jak wy mnie, w kozi róg zapędził. Powiedźcie mi jednak, czy w poezyi tak nazwanéj klassycznej, w utworach tylu znakomitych ludzi Stanisławowskiego wieku, nic niema dobrego i pięknego? a przeciwnie, co *ballada* to arcy-dzieło? to nasz *Krasicki*, *Trembecki*, *Naruszewicz*, *Feliński*, *Koźmian* i inni, darmo bazgrali papier?

— A wiesz co?—rzekł żywo Edward,—że gniewasz nas takiém pytaniem. Tylko co nam przyznajesz rozum nad lata, a występujesz z kwestyą jak studentom z trzeciej klasy.

— Dajże mu ciągi i za mnie — rzekł Julian, — za to podstępnie rzucone pytanie. Oho! chce on nas wyprowadzić na bezdroże szczegółowych rozpraw i komentarzy, a potem pojedynczo nas pobić, jak *Horacyusz Kuracyuszów*; dajże mu za to! a ja idę przygotować mu argumenta w jego własnej kuchni. Damy dziś z Michałem obiad *klassyczny*, a podwieczórek *romantyczny*—suto, zawieszisto i *smaczno* w pierwszym; pięknie, słodko i *smaczno* w drugim. Uważaj panie Ignacy, że ten wyraz *smaczno* do obu wchodzi. *Sat sapienti!*—i poszedł.

— Rozumiesz go?—zapytał Edward.

— Rozumiem, ale on mię niesłusznie posądził, bom ja w dobrej wierze zapytał.

— Skutek jednak byłby tenże sam, gdybyśmy ogólne pojęcia piękna do szczegółów zastosowywać chcieli. W piękném, mój panie, trudna różnica i trudna granica.... rozbiory więc nasze i sprzeczki byłyby nieskończone i niepewne. Rozważaliśmy zresztą zasadę nie talenta; a daj Boże aby na niwie ojczystej poezyi naszej, własnej, obczyzną nieskazitą, takie zawsze objawiali się pracownicy, jak ci których chwałą uwienieczone wspomniałeś imiona. Gdziekolwiek oni zapomnieli francuszczyzny, (niestety, bardzo to się im rzadko zdarzało) i narodowemi być chcieli, tam piętno prawdy na ich dziełach wybitne, tam metal czysty, a nie pozłota. Wiele z ich poezyj na pamięć umiemy, wiele w przyszłości poszły, a cokolwiek w pamięć głęboko wchodzi, w tém z jakiegokolwiek względu musi być prawda.

Dla braci zaś romantyków, którzy prócz tytułów nic więcej nie pojmując, każdą balladę, zwłaszcza przez siebie napisaną, mają, jak ty powiadasz, za arcy-dzieło, ułożyłem wzorową balladę, wzorową nie dla nich, lecz z nich, bo wzory z ich poezyj i intelligencji czerpałem. Słuchaj.

Ballada — Romantyczność.

„Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą:

Czy to pies?

Czy to bies?

Rzecz jeden do drugiego:
 Czy ty widzisz psa czarnego?
 Żaden nic nie odpowiedział,
 Żaden bowiem nic nie wiedział,
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Lecz obadwa tak się złękli,
 Że weszli w row i przyklękli.
 Drżą, potnieją, włos się jeży,
 A pies bieży—a pies bieży....
 Bieży, bieży, już ich mija,
 Podniósł ogon i wywija—
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej,
 Oni wstali i patrzali;
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Wtém, o dziwy! w oddaleniu,
 Na zakręcie, znikł im w cieniu,
 Czy to pies?
 Czy to bies?

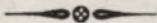
Długo stali i myśleli,
 Lecz się nic nie dowiedzieli
 Czy to pies?
 Czy to bies?

Śmieli się oba i autor i słuchacz, a wtém ozwał się dzwonek.—To na obiad!—rzekł Ignacy; i szybkim krokiem wszedł Julian.

— No, panowie!—zawołał on—dzieło na stole, basta teorya! pójdźmy rozebrać je w treści. Twój Michał P. Ignacy, to *klassyk* prawdziwy! jego obiad, to dramat *klassyczny*. *Chłodnik*, to zimna expozy-cya sztuki, to akt pierwszy. *Zrazy* bite, gorące, duszone, że aż piszczą w rądlu, to akcja dalsza wrząca, zapalczywa, ognista. Ingredyencye rozmaite, to podniecające intereres namiętności. *Pieprz*, to gorzka rozpacz i nienawiść. *Cebula*, to miłość nie-szczęśliwa co łyzy wyciska. *Bobkowy liść*, to laur bohatera... Ale imaginujcie sobie co to za głęboki poeta ten Michał! Trzebaż było koniecznie rozwiązania sztuki, piątego aktu—on daje *Pezy!*.. a to jest napuszysta *narracya* kończąca zwykle *klassyczne* tragedye, i kortyna zapada.

— Brawo!—zawołali wszyscy—brawo!

— Idźmyż jój klaskać... zębami! — dodał gospodarz.



VII.

Siedzący od godziny chłopiec na kominie krzyknął na koniec—*jedzie!*

Na to hasło kawalerowie, którzy po obiedzie zatrudniali się każdy po swojemu przygotowaniem do przyjęcia gości, to jest, Edward z Ignacym w ogro-

dzie, a Juljan na konferencyach z Michałem, przerywanych wpisywaniem do sztambuchów poetycznych pamiątek; na to hasło z komina, wszyscy trzej dosiedli koni, i galopem ruszyli na spotkanie.

Naprzeciw nich zbliżał się biegący koszyk z kwiatami; bo śmiało porównaniem tém ozdobić można było, piękny, płaski naówczas a wysoki, złotem i lakierem lsknący się kocyk, napęczniony młodzieńkami i ładnymi dziewczętami, których świeżość i wdzięki, jak roszkowna woń róż rozwijających się otaczała. Jechała w nim razem, młoda ich bratowa, żona pana Krzysztofa kapitana, o którym już wspomnieliśmy, i nakoniec między niemi, malutka Józia, córeczka ich kilkoletnia, do obrazku Amorka z czarnemi figlarnemi oczkami służyłoby mogąca.

Kapitan jechał także konno. Gdy ujrzał trzech kawalerzystów naprzeciw siebie, zakomenderował: *baczność! stój! równaj się!* Koń jego zarżał wesoło, zestrzygł uszami, i wyskoczył rzeżwo—przypomniał komendę.

Nastąpiły powitania. Oczy tu bardziej niż osoby się witały. Jeźdce nie mogli z koni dotknąć pięknych rączek, we wzroku więc ich tylko pałała radość i uczucie, przed którym spadały powieki Ludwiki i Zofii, a żywy rumieniec oblewał dziewicze ich jagody.

— No, panowie! — zawołał kapitan znowu: — *Trojkami naprzód! marsz!* a nieźle jeździcie, jak na literatów.

Ale komenda ta nie dała się wykonać, bo pan Ignacy jechał z jednej strony kocza, gdzie siedziała Ludwika, a pan Edward z drugiej, gdzie się

doń uśmiechała Zofia; pan Julian więc tylko towarzyszył panu Krzysztofowi.

— Dzielny koń pański—rzekł Julian, patrząc na jego piękny tok, i zręczne wyskoki.

— Stary on już — mówił kapitan, — ma lat z piętnaście, ale go kocham i pieścę; bierze on podwójną rację obroku, i dla tego rzeźwy jeszcze; bo to, mój panie, towarzysz mego wojskowego życia, i nieraz to życie ratował. „Nosił mię, nosił daleko po świecie“ — mówił z niejakim rozrzewnieniem, głaszcząc konia po szyi. — Uważałeś pan jak się rozpałił na głos mój? pocziwy! pamięta jeszcze komendę, i gdybym krzyknął: — *z miejsca nacieraj!* toby jak strzała ruszył do szarży. *Drezno, Lipsk, Hanau, St. Dizier*, wszędzie byliśmy razem: i gdy nań teraz wsiądę niekiedy, wnet mi się te dni przypominają, w których, opiece jedynie Bogu winienem, żem wyszedł zdrowo i cały, gdy tysiące obok mnie ginęły.

— Piękne wspomnienia zachowasz pan dla dzieci swoich.

Kapitan się zadumał. — Tak, — rzekł potem—dzieci, a może i wnuki nasze, nie ujrzą zapewne takich walk olbrzymich, takiego starcia się narodów, jakiego my byliśmy świadkami, a niektórzy uczestnikami. Ale to chwala Bogu przeszło...

— Tęgi to był koń — mówił on dalej, zwracając się z poważnej na potoczną rozmowę — a sa-

dził panie przez rowy i płoty jak sarna. Imajnuj pan sobie, w bitwie Lipskiej (*) szarżowaliśmy na węgierskich huzarów: szwadron jeden na cały pułk, bo już cesarz nie miał dość kawaleryi, musieliśmy zatem nadstarczać jak można było. Nie do-
trzymaliśmy jednak tak potężnej sile, i *rejterada w tył...* Dowodził nami natenczas waleczny pułkownik *Sucharzewski*; w awansie on zawsze na czele, w rejteradzie on zawsze ostatni; a trzeba było przebyć fossę, którąśmy w szarży ominęli, a na którą nas teraz Węgry nagnali. Ścisnąłem ostrogami gniadosza, przesadził... ale obejrzę się za siebie, aż pułkownika naszego rąbią huzary, koń mu się zwinął nad fossą i upadł. *Wiara!* krzyknąłem przerażony, *wiara za mną!* pułkownik nasz ginie!... W mgnieniu oka gniadosz był znowu za fossą, i tuż za mną kilkunastu tęgich wiarusów. Rzuciliśmy się na kupę Węgrów niespodziewających się nowego ataku; pierzchli więc szpikowani lancami, a my podjęliśmy kochanego naszego dowódcę z głową porąbaną okrutnie. Tymczasem drugi szwadron przybywający nam w sukurs, uderzył Węgrom z boku, mieliśmy zatem czas przenieść pułkownika do ambulansu, a gdy sławny chirurg cesarski *Larey* obandażował mu głowę, odwoziłem go do Lipska, i zalokowałem, ile można było, najwygodniej.

Droga się tu zwęziła i Edward musiał opuścić kocz, a zbliżyć się ku jadącym konno, i dosłyszawszy ostatnich wyrazów kapitana.—A sam wró-

(*) Prawdziwe.

cięż pan—rzekł—na plac boju, lubo mogłeś zostać przy swoim pułkowniku i uniknąć niebezpieczeństwa, nie uchybiając swęj powinności, ani wojskowemu honorowi, boś był jego adjutantem, czy adjutantem pułkowym; co na jedno wychodzi.

— A z kąd to pan wiesz? — zapytał ciekawie kapitan.

— Przed rokiem będąc w Warszawie, poznałem jenerała *Kurnatowskiego* (*), z którym pan kampanię francuzką za Renem robiłeś, On mię jako Litwina wypytywał o litewskich oficerach z którymi służył a szczególnie o panu, i przypomniał sobie przytęm, ten dowód sumiennego poświęcenia się pańskiego obowiązkom służby. Rozkazał mi serdecznie odeń pana pozdrowić, co aż teraz spełniam, bom dotąd nie miał z ręczności przypomnienia sobie tego.

— Dziękuję, oh! bardzo dziękuję! To mię nie zapomniał jeszcze mój jenerał! — rzekł wzruszony kapitan. — W nowęj organizacyi wojska naszego we Francyi, czynionęj 1-go stycznia 1814 roku przez jenerała *Flaheaut*, adjutanta Napoleona, on naznaczony będąc dowódcą brygady kawaleryi, wezwał mię do swego boku. Był to dowód łaski i przyjaźni dla mnie, bo w zmniejszonych bardzo i zredukowanych numerach pułków naszych, wielu oficerów wyszło nad komplet i zostało bezczynnymi.

I mniemam — przerwał Juljan, — że się nie roz-

(*) Prawdziwe.

gniewali za to, bo ta ostatnia walka we Francyi, obcą już dla nich była.

— Mylisz się pan — rzekł kapitan, — póki pałasz przy boku i szlifa na ramieniu....

— A krzyż na piersiach—przerwał znowu Julian, przenikając myśl kapitana i wskazując na pierś jego.

— Naturalnie—odpowiedział on skłaniając głowę, — w takiem położeniu tём bardziej te rzeczy inaczej się pojmują.

— Ostatnią tedy kampanię — mówił dalej pan Krzysztof,—i ostatnią bitwę pod *St-Dizier* naprzeciw korpusu jenerała *Witzengerode*, odbyłem pod wodzą jenerała Kurnatowskiego. Bóg mi i tu ratował od szwanku, lubo kilkakrotnie w gorących byliśmy opałach, tak, że jenerałowi kartacz zbił kaszkiet z głowy; musi on go chować na pamiątkę. A jakby na dobre zakończenie mego wojskowego zawodu, podała mi się tam zręczność ratowania znowu od śmierci pułkownika, choć nieprzyjacielskiego natenczas wojska.

— Jaktó?—zapytał Edward.

— A tak. Po bitwie, kazano mi objechać plac boju, dla zebrania rannych; gdy więc pomiędzy trupami i jęczącemi rannemi w różne strony przebiegam pole, odzywa się mi z boku głos słaby i zaledwie zrozumiały: „*Au nom de Dieu! qui que vous êtes, sauvez moi....*“ (*). Rozumiałem że to francuz jaki: ale zbliżywszy się poznałem po ostatkach munduru, że to oficer Rossyjskich lejb-huzarów. Znaliśmy ich dobrze, bo nam często zazierali w oczy.

(*) Prawdziwe.

Dałem mu połknąć kilka kropel tegoż wina, które go orzeźwiły nieco, i wtenczas mi opowiedział, że był dowódcą tego pułku, a zostawiony na placu za zabitego, przyszedł do przytomności, gdy rany się zapiekły i resztę krwi od upłynienia zatrzymały. Że zaś żyć nie spodziewał się, chciał aby przynajmniej żona, którą w kraju zostawił, i krewni wiedzieć mogli, że zginął jak wierny swojej broni żołnierz.... Serce mi się ścisnęło na te jego słowa, bom pomyślił, że i ja może dachu rodzinnego i sędziwego ojca mego nie ujrzę; tém czuliej więc zająłem się ratunkiem dłań i pomocą. Miałem obok siebie kilku chirurgów, ci wnet się nim zajęli. Rany były liczne i ciężkie, pomoc gwałtownie potrzebna, za kilka godzin jużby była próżna; alem się pocieszył, gdy mi oni opatrzywszy go pilnie, powiedzieli, że wszakże rozpaczać nie należało, bo czerstwy skład ciała i wiek nieprzejrzały rannego, a mógł mieć lat trzydzieści, dozwalały wróżyć, że natura wspomogła lekarskie staranie. Promień nadziei, który natenczas mimo srogich boleści rozpogodził jego oblicze, ściśnienie méj ręki, i łzy w oczach, najśłodsza mi były nagrodą, i dziś jeszcze najmilszém mi jest wspomnieniem.

— A nazwisko jego?

Kapitan skinął ręką. — Wiem że żyje — rzekł, — a przynajmniej żył przed laty kilką; wiem, że opowiadał nieraz to swoje zdarzenie, z wdzięcznością wspominając oficera, który go ratował; to dla mnie dosyć!....

Zbliżano się tymczasem do dworu i pan Ignacy galopem wyprzedził wszystkich, pragnąc spotkać gości.

Dom niegdyś pana wojskiego, zmienił zewnętrzną formę. Zamiast ganku za kratkami, na którym widzieliśmy pana wojewodę mściławskiego Chomińskiego, stolnika, i sędziwego gospodarza, przy lampkach starego wina, poważną prowadzących konwersacyę; stanął na murowanych słupach podjezdny ganek, w którym usiąść nie było na czém, i pod który nie zajeżdżali stare kuczery, mniemając, że w dom otwartyby wjechali; lecz śmielszy furman kapitana zatoczył zręcznie kocyk pod kolumny, a damy oparte lekko na rękach kawalerów, wysiadły zeń i weszły do pokojów.

Wnętrze domu niewiele się zmieniło od czasów pana wojskiego, bo jeszcze nie nadeszła moda dzisiejszego tak nazwanego *komfortu* zależącego na ustrojeniu gabinetu kawalerskiego, symetrycznie na kilku stolikach rozłożonemi rozmaitemi gracykami, mniej więcej kosztownemi, a najmniej użytecznemi; na zawieszeniu na ścianach kilku obrazów nadto swobodnego pędzla, na sprężystym szeslongu, i kilku książkach illustrowanych w złożonej oprawie, na wiszącej konsoli wydatnie umieszczonych.

Pan Ignacy obchodził się dziadowskiemi jeszcze sprzętami; a tylko niestety! zniknął z pod lustra wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego, i dzwoneczek loterański z koronką; może się przeniósł do sypialnej komnaty, gdzie modny niedowiarek XVIII-go wieku, przypominając w samotności matczynej pa-

cierz, bił się w piersi, ze skrucną powtarzając: „odpuść nam nasze winy.“ Wszyscy nasi tamcześni mędrkowie, takimi podobno byli... u dzisiejszej młodzieży, między pięknymi gracikami, nie rzadko ujrzysz śliczny krucyfix, jawne wyznanie religijnych sentymentów młodzieńca; ależ *vice-versa*, czy bywa matczyna modlitewka w sypialnej komnacie?...

Drugi pokój stosowniej nieco reprezentował dzisiejszego właściciela tego domu. Tam stała naszkłona szeroka szafa z książkami, i stół do pisania, także książkami nałożony, a w kącie jednym liczny zbiór cybuchów, wielkimi i osobliwemi nasadzonych bursztynami.

Pierwszy raz na swém gospodarstwie przyjmował pan Ignacy piękne swe sąsiadki, i tę, którą radby był uwieźć w swych ścianach. Pierwszy raz dorodne dziewice znalazły się w domu młodego człowieka, i przewidywać, a raczej instynktem serca przeczuwać mogły, że tu właśnie zdarzą się chwile tkliwszego znaczenia, od których wywinąć się będzie trudno. Z obu stron więc swobodna wesołość, która jadących przeprowadzała, znikła jakoś na wstępie między młodzieżą. Damy usiadły w milczeniu, i ciekawem okiem rzucały w około, jakby się zlekły dwóch hetmanów, surowo na nich ze ścian patrzących. Nie wiedziały one, że oba za życia wielbicielami byli płci pięknej: że *Sobieski* ubóstwiał *śliczności swojej Marysieńki*, a *Radziwiłł* w podszłym już wieku, bez względu na swe dostojęstwa, mirty i bogactwa, po śmierci swjej pierwszej żony *Wiszniowieckiej*, zakochał się w jej respek-

towanej pannie, Mycielskiej, i z nią się ożenił. (*) Pan Ignacy jednak wnet z tego wzruszenia, które mu było mowy ujęło, ochłonawszy — Kapitanie — rzekł,—dozwolisz odejść koniom do stajni. Pani, które nas dziś tu uszczęśliwiają, darować nam raczą cały wieczór.... Noce jasne i piękne, powrót będzie przyjemny.

— A pod wodzą kapitana—dodał Julian,—będziemy eskortowali damy, jeżeli pozwolą.

Kapitan spójrział na żonę, a ta z wdzięcznym uśmiechem odpowiedziała:—Zgoda, i tém bardziej, że muszę przejrzeć cały ogród sąsiada, i przekonać się; czy tak piękny, jak powszechnie zachwalony; a wnet wejrzeć i osądzić, czy dobry z pana Ignacego gospodarz?

—We wszystkiém proszę o pobłażanie pani—rzekł on,—a co do gospodarstwa, zawczasu nawet przepraszam, za przyjęcie tak miłych gości, bo przecież bezzenni surowo na tym punkcie sądzonymi być nie mogą.

— Obaczymy; — rzekła wesoło kapitanowa, a tymczasem na skinienie przez okno jej męża, konie odeszły.

— Ach! otóż i nasze sztambuchy! — zawołały dziewczęta, bo książki przygotowane leżały na stole. Rzuciły się więc na nie, jak dzieci na łakocie, ale w mgnieniu oka umiarkowała się ta skwapliwość poczuciem, że za łakomstwo na dusery wziętą hyc

(*) Z niej się urodził Hieronim Radziwiłł, ojciec księcia Dominika, ostatniego potomka książąt Ordynatów Nieświżskich.

mogła. Sztambuch więc Zofii dostał się w ręce jój bratowej. — Podziękuj Zosiu, — rzekła ona, — oto wiersz pana Edwarda na dzisiejsze twoje imieniny. Przeczytaj pan sam, to razem i powinszujesz solenizantce.

Edward właśnie tego żądał, więc wziął książeczkę i czytał z zapalem, życzliwością zapewne dla solenizantki podniesionym:

„Dwa lata już stańło przed ołtarz wieczności,
Od chwili gdy raz pierwszy życzenia ci złożył.
Powtarzam je, zwierając losu opatrności.
Bym ci szczęścia nie próżno i życzył i wróżył.

Czas leci, z lotem czasu wszystko się odmienia,
I moje serce zmianę nie jedną pamięta;
Lecz uczucie me dla cię, lecz moje życzenia
Zawsze tak jednostajne, jak dzień twego święta!

Może już to ostatni przepędzamy społem,
Lecz gdy ci nowe błysną z latami przyszłemi;
Bądź pewna, że je twojém wspomnieniem zacząłem,
Lub iżbym zaczął, gdybym żył jeszcze na ziemi.“

Zapłonęły lica i winszującego i winszowanej. Nastąpiło jakające się podziękowanie... potem niemniej zajękliwy komplement Edwarda, który on przecież nareszcie pocałowaniem ręki solenizantki zakończył. Wszyscy się uśmiechnęli, łącząc swe dla niej powinszowania i życzenia.

Wtém kawa wniesiona, rozpoczęła traktamenta programmatem Juliana ułożone; zastawiono ją na stole.

— Pozwoli pani prosić siebie o fatygę,—rzekł pan Ignacy do kapitanowej, wskazując ręką na stół.

— Czy pan koniecznie mnie wybierasz dziś na gospodynię? — zapytała ona, rzucając lekki uśmiech na Ludwikę, na którą teraz przyszła kolej ambarrasu.

— Tak pani, — rzekł Ignacy, — i nie możesz pani odrzec się tego obowiązku, gdyś sama postanowiła osądzić moje gospodarstwo; a na to, trzeba koniecznie mieć w domu władzę gospodyni, którą ja z pokorą w ręce pani składam.

— Prawda,—odpowiedziała kapitanowa,—sama się uwikłałam w cudzą może rolę; ale spełnię ją ochotnie. Śmietanka wyborna; to już raz wygrywasz pan na opinii,—mówiła rozlewając kawę po filiżankach,—i sucharki nieźle wyglądają.

Wtém, otwierają się drzwi na ścieżaj. Wchodzi stary Michał, niosąc przed sobą wielki blat biszkoktów, w wysoką piramidę ułożonych, i stawia na stole. Sprójrzeli na siebie z zadziwieniem gospodarze festyny, a szczególnie na Juliana, który ją urządził; bo tych biszkoktów, ani tego solennego wejścia Michała nie było w programacie. Ale on nie mógł znieść balu bez biszkoktów; upiekł je więc na folwarku skrycie od Juliana, a wniósł sam dla tego, że mając w głowie proroctwo Edwarda, iż jedna z panienek mających przybyć, a które wszystkie w kościele nieraz widywał, będzie jego panią, chciał dociec która? spuszczaając się w tём na szczęście i na swój stary rozum.

— Jak się masz stary pocziwcze? — zawołał kapitan,—czyś zdrów?

— Do usług jaśnie wielmożnego pana.

— Dawna to moja znajomość, — mówił dalej pan Krzysztof, obracając się do pana Ignacego; — wierny to sługa nieboszczyka pana wojskiego, dziada pańskiego.

Tymczasem Michał rzucał okiem po kompanii. W téj chwili pan jego znalazł się obok Ludwiki; zdało się staremu że ktoś mu szepnął na ucho: „oto twoja pani;“ postąpił więc kilka kroków ku niej i uklonił się nisko, potem grzecznie całej kompanii, i wyszedł.

Wszyscy zdziwieni umilkli... potem wszyscy wielkim śmiechem parsknęli. Ludwika tylko stała zarumieniona, uśmiechająca się z przymusem, i pan Ignacy obok niej zaambarasowany. Spójrzył on na Juliana, rozumiejąc, że on mu tego figla spletał, i tę deklaryację Michałowi naraił; ale Julian zrozumiawszy po wzroku to podejrzenie, ścisnął ramionami i głową pokręcił; a trzeba było przecież coś powiedzieć, przerwać ten śmiech, i jakkolwiek wywinąć się z kłopotu. Ani utwierdzić téj manifestacji Michała, ani jej zaprzeczyć: utwierdzenie byłoby oświadczeniem się niewczesném i niezręczném; zaprzeczenie, obrażającém zaparciem się uczuć niewywołanych dotąd żadną nadzieją; a zaparcie się to, z trudnością potem rewokowaćby przyszło. Myśli te, z dodatkiem przekleństw na starego ciemięgę, przełatując jak błyskawica w głowie pana Ignacego, nie dawały się zawiązać conceptowi nagle tu potrzebnemu. Julian zatem pojmując tę jego krytyczną pozycję, przyszedł mu na ratunek. — Stary Michał, — rzekł

on,—zrobił nam dziś siurpryzę ze swemi biszkoktami, nie o jego planach nie wiedzieliśmy.

A ponieważ na widok suto ocukrowanych biszkoktów, mała Józia zaczęła skakać około stołu, Julian więc wziął ją na ręce i rzekł:—No, mała ty moja pokusko, chcesz pirożków?

— Chcę—wyszczebiotała Józia.

— A pójdziesz za mnie za męż?—to dam.

— Pójdę—odpowiedziała rzezwo.

— Bravo! ot mam i narzeczonę,—zawołał Julian, dając jej biszkokta.

— Jakto? — rzekł ojciec szczypiąc ją za buzię; — to i bez pozwolenia papy i mamy?

Józia się zachmurzyła.

— Ależ nie martw pan mojej bogdanki — rzekł Julian,—termin ślubu jeszcze daleki; a tymczasem dziewczynka wyrwała się z rąk jego i uciekła do mamy.

Bywają w życiu ludzkim jakieś niewytłómaczone chwile; ale jednakże muszą one padać z przeznaczenia, w których rzucone na wiatr zda się i bez namysłu słowo, staje się.... wróżbą!

Pan Ignacy korzystając z nowego obrotu rozmowy i uwagi powszechniej, zakończył tak swój ambaras, jak Edward powinszowanie i pocałował rękę trochę wzbraniającą się Ludwiki, a pocałunek ten był razem i czułym i dyplomatycznym; bo przeproszał za Michała, utwierdzał pokłon jego; a zamilczał wyznanie.

Wszedł lokaj i rzekł:— Sieć do kanału zapuszczają.

— Ach! ach!—krzyknęły damy—rybołówstwo! pójdziemy, pójdziemy patrzeć.

— I owszem — odezwał się pan Ignacy, bo to i na szczęście i na rozrywkę dla pań sięc zarzucona; a że jutro środa, gospodyni moja dzisiejsza parę karpi raczy przyjąć na obiad.

— Zgoda, dziękuję, — odpowiedziała kapitanowa— pod warunkiem wszakże, że ten obiad razem u nas jeść będziemy.

— I na to zgoda, — odpowiedzieli wszyscy.

— Ależ przed niewodem rybę łowicie, — rzekł kapitan, — a jeżeli karpi nie będzie?

— Oho! — rzekł Edward — nie skompromituje szczęścia dam pan Ignacy; wie on, że kanał pełny ryb, i my wiemy, bo dziś już probowaliśmy tego szczęścia.

Więc wyszli wszyscy z pokoju, z téj sentymentalnej niejako atmosfery, na swobodniejsze odetchnienie, razem orzeźwiające i rozwalniające więzy przymusu, które w ciśniejszym pokojowym obrębie hamowały ich wesołość, i w pewnym oddaleniu jednych od drugich trzymały.

Gdy wychodzili, gospodarz podawał rękę kapitanowej, ale ta rzekła uśmiechając się.

— Daj pan pokój, ja nie lubię tych etykietałnych processyj, zwłaszcza na wsi, gdzie każdy najswobodniej chodzić i bawić się chciałby, a musi iść gdzie go prowadzą. Zresztą, pan idąc ze mną w pierwszej parze, możebyś chciał pójść *odbijanego*....

— Oh pani! to dowcipnie, ale....

— No, prowadź pan kogo chcesz—przerwała ona,— ja pana uwalniam, a lepiej nie prowadź nikogo, sami pójdziemy.

Jakoż cała gromada szła nad kanał, z którego kilku ludzi wyciągało niewód. Mała Józia wyprzedzała wszystkich. Wolny sercem Julian, wybierał więc sobie towarzystwo, i dzieląc się między wszystkich gości, wyręczał gospodarza w obowiązku bawienia wszystkich, a dawał czas obu kolegom rzućcia w ucho dziewcząt owych tysiącznych synonimów jednego zawsze wyrazu *kocham*, który co chwila z ust się wymykając, na nich zamiera. Synonimy te i omówienia improwizują się natenczas u wszystkich, mniej więcej zwężle, mniej więcej tkliwie, jakoby w muzyce serdecznej *waryacye* na jedną *temę*; ale w ogólności tworzą się one w odwrotnym stosunku uczucia, i tém się mniej wiedą i kleją, im gorętsze jest i szczerze to uczucie; bo ten wyraz *kocham*, który jest treścią rzeczy, wściabiając się między inne słowa i peryody, a nie dając się wymówić, miesza ich szyk i porządek. Żywsza i obfitsza z natury i z codziennego rozwijania się wyobrażenia młodych poetów, zdolniejszymi i biegłszymi ich czyni w tych sentymentalnych manowcach. Myśl ich natenczas pracuje tak, jak niekiedy nad pogodzeniem i zastosowaniem rymu do treści, lub treści do rymu; a jak z tego przymusu i udręczenia się, wynika częstokroć piękna poezya, tak i z tej zalotnej gmatwaniny słów i wyrażen, wyniknie im często miła i tkliwa, jakby strofka poetycznej prozy, w którą owinięty ten zaklęty wyraz, wpłynie do serca dziewicy, i tam się rozgości. Ludzie doj-

rzalsi mają na to zwyczajne formuły; uczą się ich z romansów pisanych, lub po prostu używają swatów, to jest formuł chodzących; ale młodzi, żywi, zakochani, a tém bardziej poeci, snują sami około lubéj istoty tę *sieć pajęczą*, którą częstokroć

„Wiatry wioną i rozdmuchną.”

Ale niezmordowany

„Snuje znowu sieć cieniuchną,

By ją znowu wiatry zwiały” (*)

a w której wszakże więźnie niekiedy serce niewinnej a czulej dziewicy. Opisywać jednak z domysłu lub z przypomnienia takie zalotne konwersacye, albo jak to jednym wyrazem dobrze nazwano takie *zalecanki*, rzecz trudna i niebezpieczna; zostawiać to raczej należy domysłom lub przypomnieniom samychże czytelników, niżeli dorzucać kilka ognistych a na zimno namysłanych kartek, króre zwykle nieczytane się przerzucają.

I tu więc powiemy tylko, że pan Ignacy wzięwszy *assumpt* od ukłonu starego Michała, niżeli doszli do kanału tak gładko od słówka do słówka wyprowadził w pole piękną gościę, której rękę podawał; że mu ona rumieniąc się powiedziała: „ja się na pańskiego staruszka nie gniewam.”

— Ale czy pani wierzysz w to, com powiedział, że on ten pokłon oddał pani z przeczucia?

Pytanie to bardzo zręczne, jak mu się zdawało, jakby sidelko na ptaszka rzucone było; i cieszył

(*) Zaleski.

się w duchu pan Ignacy, że mu się ono tak składnie z uprzedniej rozmowy wywinęło, a serce mu biło z niespokojności oczekując odpowiedzi.

Przez chwilę milczy ona ze spuszczonemi ku ziemi oczyma. Dobry znak! myśli Ignacy, ale wnet je podnosi śmielój i zapytuje wzajemnie:

— A pan sam czy wierzy w to przeczucie swojego Michała?

— Ha! ladaco! — pomyślał on znowu, — jaki dowcip! pomieszała mi szyki i obłudne mowy! — bo rzeczywiście pytanie jego było obłudném. Z kolei teraz dziewczyna z figlarnym uśmiechem nań poglądała oczekując odpowiedzi. Pan Ignacy znowu się znalazł w podwójnej pozycji. Przyznać się do wiary w przeczucie Michała — kłamstwo — zaprzeczyć się téj wiary; a pocóż to pytanie? ale wnet się opamiętał i rzekł: — Ja wierzę wszystkiemu, co mi jakąkolwiek wróży nadzieję; gdybym ją miał... gdyby ona przez usta twoje droga pani — mówił ujmując jój rękę, — do mnie się uśmiechnęła... — doszli do kanału, rozmowa się przerwała. Ludwika drżąca swą odeń odjęła rękę.

O kilka kroków za niemi szedł Edward obok młodszej siostry; on także:

„Miłość, piękność, czucie, wiarę,
Na ogniwa spajał złote.” (*)

I w te subtelne ogniwa uplatać ją usiłując, chciał wybadać tajemnicę jój serca, i czego się mógł spodziewać w swych zamiarach, tém bardziej

(*) Zaleski.

wątpliwych, że z przyczyny podróży jego za granicę, gdzie się na lat kilka wybierał, uczucia choćby szczerze młodej dziewczyny, na długą próbę cierpliwości narażonemi być miały.

Kilka dni świątecznych przed dzisiejszym, bawiąc razem w ich domu, Edward nie wiele więcej nad życzenie szczęśliwej drogi i pomyślnego powrotu, wyjednał. To był już dzień ostatni lub przynajmniej przedostatni bytności razem, przed rozłączeniem się na długo; pod wpływem więc téj smutnej myśli, Edward był wzruszonym, a zatém czulszym, mówił goręcej, śmielej. Toż samo może wrażenie sprawiło, że go słuchano cierpliwiej i skłonniej.

Dozwól pani jeszcze,—mówił on, gdy się już zbliżali do kanału, —powtórzyć sobie ostatnią strofkę mego dzisiejszego dla niej powinszowania:

„Może już dzień ostatni przepędzamy społem,
Lecz gdy ci inne błysną z latami przyszłemi;
Bądź pewna, że je twojém wspomnieniem zacząłem,
Lub iżbym zaczął, gdybym żył jeszcze na ziemi.”

— Dla czego—rzekła Zofia wzruszonym także głosem,—tak smutnie chcesz nas pan żegnać!

— Bo wątpię, czy nieobecny będę wspominany?

— O tém pan nie wątp, — odpowiedziała czulej— a wzrok jój potwierdził jój słowa.

Edward chciał odpowiedzieć... wtém doszli do kanału. Cała więc kompania się połączyła, i wyciągniono sieć. Matnia pełną była ryb rozmaitych:

„I szczupak wód monarcha, co się braćmi pasie,
I złotoustę karpie, i słodkie karasie.” (*)

(*) List A. E. O. do W. J.

Zawołał Edward.

Niechże pani wybiera,—rzekł pan Ignacy do kapitanowej.

—A więc wybieram parę karpi, i kilka tych pięknych karasi, a jutro na nie panów czekać będę.

Mała Józia aż skakała z radości, patrząc na pluśkające się ryby; chwyciła jedną małą.

—Co ty z nią będziesz robić? zapytała mama.

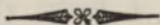
—Zgotuję—odpowiedziała.

—Zgotujesz? a dla kogo?

—Dla mężia—rzekła patrząc na Juliana.

—Ach, nic dobrego dziewczyna!—mówiła śmiejąc się matka,—ja rozumiałam że dla papy i mamy.

—Wilecza natura do lasu ciągnie,—rzekł kapitan i śmiali się wszyscy.



VIII.

Od kanału przez grobelki i mostki, szła kręta drożka do ogrodu. Pan Ignacy spójrzył na Juliana, bo ten jako układający całą festynę, wiedzieć był powinien, czy już czas prowadzić damy na podwieczórek. Julian obejrzał się ku ogrodowi, i dostrzegłszy tam zdaleka stojącego przed altaną lokaja, co było umówionym znakiem, skinął na pana Ignacego.

—Oto pani — rzekł ten do kapitanowej — drożka, która nas do ogrodu zaprowadzi. Julianie, proszę cię, bądź przewodnikiem.—Julian więc podał

rękę kapitanowój, lecz obie dziewice nie odłączyły się już od towarzystwa całego, i tak szli wszyscy blisko siebie.

Juljan tak prowadził kompanię, aby weszła do altany nie widząc Helikonu. Gdy się damy w téj jakby świątyni Flory, w kwiaty dla nich ustrojonéj, obaczyły, wdzięczne zadowolenie zajaśniało na ich twarzach.... woń bzów, róż, jażminów pomieszane razem, tworzyła jakąś aromatyczną atmosferę, której odetchnieniem z rozkoszą napawały się piersi.— Ach! jakże tu pięknie! jakąż nam miłą przygotowałeś pan niespodziankę!—zawołała kapitanowa obracając się do pana Ignacego.

Ten przejęty i uniesiony urokiem téj szczęśliwéj dlań chwili, kładąc rękę na sercu, głosem pełnym szczerości zawołał:

„Te lipy stare i ciemne,
I wszystko co tu widzicie,
Niech wam tak będzie przyjemne.
Jak nam tu wasze przybycie.”

Sztrofka ta Karpińskiego, która pod wrażeniem tkliwego usposobienia wpadła na myśl panu Ignacemu, przeniknęła wszystkich. Kapitan ujął go za rękę i wstrząsł serdecznie.—Dzięki panom, dzięki!—odezwiała się czule jego żona; a dziewczęta miłutkiem wejrzaniem, i słodziutkimi uśmiechy łącząc się do jéj słów, radość swą wewnętrzną zdradzały.

Kwieciste to ustrojenie, zajmowało nie tylko altanę, lecz i przedsiónek do niéj, to jest szeroki szpaler lipowy ją przedłużający; tam przygotowany i ustawiony już czekał podwieczórek. Wyrozumieli

i zręczni jak zwykle kawalerscy lokaje, spełnili wszystko podług instrukcyi Juljana. Stół zdawał się klombem kwiatów, a między wazonami kryły się blaty. Zaproszone damy zbliżyły się doń, kawalerowie podsunęli im krzesła, sami przyjmując obowiązki krajczych i podczaszych, a właściwie uprzejmych gospodarzy.

— Zalecam kurczęta—rzekł pan Ignacy,—są one upieczone podług gastronomicznej metody Juljana.

Zasmakowano w nich bardzo, a Juljan zacierał ręce z ukontentowania.

Kurczęta więc, szparagi, szczupak i jeszcze parę lekkich potrawek z podkurkowych przysmaków przez Michała przypomnianych, któremi to młodzi słudzy swe goście, to piękne goście sług swoich traktowali, ubywały powoli z półmisków. A tymczasem w altanie nakryto znowu stolik mały okrągły, na którym kilka karafek limonady i kilka lampetek i kieliszków postawiono; ale na czele téj całej kryształowej parady stanął w towarzystwie dwóch omszałych z żółtą pieczętką butelek, wielki kielich rznęty w herby i armatury, jakby dziad stary z dwiema babulkami, mający błogosławić młodemu pokoleniu.

Odkorkowano.

— No kapitanie wypijemy zdrowie dzisiejszej naszej solenizantki — rzekł pan Ignacy, wyjmując kielich.

— Co to pan chcesz robić?—zawołała kapitanowa,—meża mi spość, i samym się upić? pięknie! tego ja nie dozwolę.

— Wypijemy zdrowie solenizantki — rzekł kapitan, — zgoda! i zdrowie gospodarza koniecznie, ale...

— Kapitanie! — przerwał Ignacy, — nas tu trzech dziś gospodarzy, i żaden swych praw nie ustąpi, ale pierwszeństwo należy się gospodyni.

— Którą? — zapytała z uśmiechem kapitanowa, — czy przyszłą, czy dzisiejszą?

Ludwika instynktowie spuściła oczy.

— Nie, — rzekł Ignacy kłaniając się jej grzecznie, — tej właśnie, która dziś ten tytuł w mym domu przyjąć raczyła.

— Potem ułożymy kolejkę — rzekł kapitan, — ale nie tym kielichem kochany gospodarzu, to widać z czasów jeszcze dziada twojego, pana wojskiego.

— I wino z jego czasów — odpowiedział Ignacy, lecz cóż ztąd kapitanie? czyż my tak odrodni? a ja, ja wnuk jego rodzoniuteczki, miałbym ubliżać jego pamięci? lub własną wyznawać niedołężność, w obec jego kielicha, a zatem jakby w obec jego samego? Nakoniec kapitanie

„Cóż znowu u licha?

Kto się nie uląkł korda — nie zleknie kielicha!”

Kapitan pokręcał węża; żona zatem poznała, że może się nie oprzeć rycerskim przypomnieniom.

— Śliczne widzę na tym kielichu rznięcie, — rzekła ona, — pozwól pan, i wzięwszy go z rąk pana Ignacego, jakby dla przypatrzenia się, po chwili zawołała: — Wyborny mi przychodzi projekt. Ludka i Zosia z tylu pięknych tu kwiatów niech zwiążą bukiet, nalejmy wody do kielicha, i na pamiątkę naszej tu dziś tak miłej nam bytności, zosta-

wimy panom ten bukiet, czy zgoda? bo jeżeli panowie nie chcą, to ja oddaję...

Ignacy nie śmiał sięgnąć ręką po kielich.

— A widzicie panowie—rzekł uśmiechając się kapitan,—dowcipną mam żoneczkę.

— Brawo! — zawołali Edward i Julian. — Zgoda i dzięki pani — dodał ten ostatni. — Zawsze kielich nasz upajać nas będzie wonią i wspomnieniem, a nawet zmieniony w swoim przeznaczeniu i zamiast wina napełniony kwiatami, da nam powód do rozmyślenia nad zmiennością obyczajów ludzkich, a bardzo może być godłem naszych dzisiejszych; więc jeszcze raz zgoda!

Wnet dziewczęta obrywać zaczęły wazony, a pan Ignacy rzekł: — No kapitanie, gdy nam kielich z rąk odjęto, i jeszcze dziękować zniewolono, to z domowego podania wiem, że te lampki ledwo część trzecią kielicha biorące, bywały w rękach dziada mojego i napełniane tém samém winem, a więc zdrowie solenizantki!—zawołał całując jęj rękę, i rozdając potem każdemu pełną lampeczkę.—Toż samo powtórzyli koledzy.

Solenizantka ucałowała brata i pięknie podziękowała pijącym.

— Kapitalne wino!—rzekł pan Krzysztof, — znam się przecie na tém, bo gościłem w kraju gdzie się ono rodzi.

Nastąpiła potem sprzeczka między kapitanem wnoszącym zdrowie gospodarza. a gospodarzem wnoszącym zdrowie gospodyni. Lecz i tu kapitanowa chcąc ile można zmniejszyć liczbę toastów, rze-

kła:—Ja panów pogodzę; jako gospodyni używam tu dziś praw wspólnych z panem Ignacym; więc mam nadzieję, że się téj wspólności nie odrzeczcie, i na wspólny nam toast się zgodzi.

I znowu pan Ignacy musiał dziękować za przekorę nagrodzoną współnictwem, którego jakże się było odrzec?

Dwukrotna ta kolejka podpróżniła butelki; zřecznie zmienione stanęły drugie, ale nowe zaprzeczenie z ust troskliwćj żony. — Mój kochany, — rzekła ona do męža, — pamiętaj, że konno powracać musisz.

— Ach! służyć będziemy pojazdem, — przerwał Ignacy.

— A to na co? — odrzekł żwawo kapitan pokręcając wřas. — Bądź pewna moja duszko, że gdybym się nawet spił jak bela, to na gniadoszu moim dojadę bezpiecznieńko. Oho, zna on jak w takim razie stapać, i jak podtrzymać równowagę, któraby jeździec tracił. Nieoceniony koń! pamiętam jak dziś, po potyczce pod *Sztolpen* w Saxonii, gdzieśmy Litwini pićrwszy chrzest krwawy odbyli, to jest pićrwszy raz z nieprzyjacielem się starli, posłał mić dowódzca pułku z obozu, do głównej kwatery tamże w *Sztolpen* będącćj, po rozkazy do naszego naczelnego wodza księcia Józefa. Odebrawszy je, jużem miał wracać, aż spotykam na ulicy kochanych kolegów, braci litwinów, *Jan-kowskiego*, *Kozietł*a, *Oskierki* i kilku z niemi koroniaszów; uścisnęliśmy się serdecznie i radośnie, jak się zwykle uściska po przebytćj szczęśliwie bitwie; nuż pić! Krótko mówiąc, tak się stało,

że ledwom mógł dosiąść gniadego; a jednak on mię po wąwozach i górach Saskich tak szczęśliwie i lekko doniósł, żem nawet przedrzemał się jadąc, i mógł pułkownikowi zdać raport regularnie. A wieleż to razy potém we Francyi toż samo było! naprzykład w *Eperné* gdzieśmy w samém gnieździe, w lochu właściciela winnicy, pili szampańskie.

— Wspomnieniom twego rycerskiego zawodu kapitanie! — rzekł Edward nalewając sobie i kolegom lampki, — i pamięci mężnych braci i towarzyszy twoich! toast szczery kapitanie, — dodał ściskając mu rękę.

— Dziękuję wam! dziękuję! — zawołał wzruszony kapitan ściskając ich wszystkich czule. — „Zdrowie wasze! zdrowie wasze! — tręcili wzajem, i wypili duszkiem.“

— Dośćże już tego, — rzekła kapitanowa. — Oto i bukiet gotowy. — Jakoż oddały go dziewczęta w kielichu napełnionym wodą.

— Piękny! piękny! — wołali Edward z Ignacym, — a śmielsi kilką lampeczkami wina, goręcój całowali piękne rączki które go wiązały.

— Piękny, — powtórzył Julian; ale — dodał po małym namysle, — braknie mu wszakże głównej ozdoby, głównej zalety. Same kwiaty... to wdzięki! ale mało zieleni... mało koloru nadziei. Cóż po wdzykach bez nadziei? Zaradzim temu... i wybiegł z altany.

Nie odgadnięto ani symbolicznych słów jego, ani po co wybiegł; lecz go wkrótce ujrzano wracającego i niosącego wazon mirtu, po który aż na Helikon wskoczył.

— No, śliczne panie! po jednej gałązce, a bukiet będzie pełnym, i... uszczęśliwi nas—rzekł on podnosząc wazon.

Tym konceptem, Julian gorzej jak stary Michał swym ukłonem, zaambarasował dziewice. Serca im biły i lica pokraśniały. Kapitanowa nawet pragnąca przyjść im w pomoc, nie mogła się ten raz zdobyć na prędce na jakiś zręczny obrót.—Dać mirt,—myślała ona,—to dać nadzieję, ledwo że nie słowo; nie dać? to rekuza! wszystko to przeklęte lampeczki te zrobiły; bez nich nie śmiałyby tak wystąpić;—i można się było domyslać, że podobne uwagi przebiegały i w główkach dziewczynych.

A Julian brnął coraz dalej i dalej. Postawił on wazon przy kielichu, wziął małą Józię na ręce:—No, moja bogdanko,—rzekł—czy dasz mi gałązeczkę mirtu? urwijże duszko.

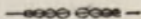
Dziecko nie myśląc długo, oderwało gałązkę i dało mu. Wtém.... słowik się ozwał w klombach.... Nie spodzianka!.... Wszyscy zdziwieni!.... Coś podobnego do przeczucia przemknęło po altanie. Wszyscy spojrzeli na Juliana, trzymającego na jednym ręku Józię, w drugiej gałązkę mirtu.

— Słowik ci Julianie hymn weselny pieje — rzekł Edward.

Uśmiechnęli się wszyscy prócz Juliana, który mimowolnie wzruszony, spójrzał mile na Józię, i przy mamie ją postawił, a mirt schował za nadrę.

— Pójdźmy przejść się po ogrodzie,—rzekła kapitanowa — posłuchajmy bliżej tego weselnego śpie-

waka, oto już ich kilku się odzywa. Wyszli więc wszyscy z altany, bukiet i wazon mirtu zostały na stole.



IX.

Gdy z ciemnego lipowego szpaleru wyszła kompania, ujrzała *Helikon*. Nowe zdziwienie i nowe kobiece *Ach!* się odezwało.

Helikon! — przeczytał kapitan — stosowna bardzo kwatery dla poetów, — rzekł.

— Możnaż tam wejść? — zapytały damy.

— Najbezpieczniej, — rzekł P. Ignacy, — i prosimy uszczęśliwić nasz *Helikon*. Przyrzekłem moim kolegom, że się na nim okażą *Gracye* czy *Muzy*, jak panie chcecie.

Uśmiechając się, ale i drżąc z bojaźni, kapitano-wa z Ludwiką i Zofią, a ośmielając je za każdym krokiem, przy nich Edward i Ignacy wstąpili na gale-ryę, i damy wśród róż usiadły. Kapitan z Julianem zostali na dole, aby nie obciążać i nie zacieśniać *Helikonu*.

Słońce już zapadało i rozkoszny majowy wieczór, z całym urokiem balsamicznego tchnienia, z całą czarownicę przyćmioną i tajemniczą barwą młodzieńczej natury, rozwinął się nad ogrodem. Nie-wymowna jakaś i mimowolna rzewność objęła zmy-sły. Słowiki jak zamówione na tę chwilę, rozgło-snem pieniem witać i pozdrawiać zdawały się płe-

kne goście ku ich powietrznemu królestwu podniesione.

— Jaki piękny obraz!—odezwał się Julian—Patrz pan: na tle bladego wieczornego światła, ocienione i uwieńczone majem i różami, wdzięczne, młode i ładne jak ideały....

— Oho! poeta z ciebie panie Julianie, poeta prawdziwy!—przerwał kapitan malarzowi w samym głównym kolorycie obrazu.

Na balkonie milczano.... Gorączkowe rozmarzenie, razem głębokiem uczuciem i winem podniecone, pałało we krwi i w żrenicach młodych ludzi zakochanych. Panowali oni jednak nad sobą; bo gdyby się na chwilę zapomnieli, sceny gorących wyznań i oświadczeń objawiłyby się tam nagle jak na teatrze, na które kapitan z Julianem patrzaliby z parteru.

Ale w milczeniu tém nawet, kapitanowa dostrzegła krytyczną chwilę; więc ją skracając,—zejdźmy rzekła,—bo już mi głowa kręcić się zaczyna.

— Za bukiet,—przemówił wtenczas Ignacy niepewnym głosem,—raczcie panie przyjąć te trzy wazonycentyfolij z naszego Helikonu.

Dziewczęta same niepojmując swego nadzwyczajnego wzruszenia, skłoniły głowę; kapitanowa dziękując i za nich i za siebie — pójdźmy — rzekła — przejść się po tym pięknym ogródku, wieczór prześliczny.

A więc gdy na dole znowu się kompania złączyła, rozpoczęto spacer. Wrażenie toż samo wprowadzie jeszcze trwało w młodych głowach i sercach, ale zmianą miejsca i ruchem rozrywane, swobodniej-

szém i przezroczyśtém, że tak powiem stawało się; marzenia rozwiewały się powoli, i myśli błędne w słowa się wiązać poczynęły. . . .

Po ogrodzie rozpięzchnione ścieżki, w rozmaite wily się strony: to wpływały w jedną szeroką ulicę, jak strumienie do głównej rzeki, to się znów rozpoczęły skupiając się potem do altany, to się od niej rozwijając między kłąby krzewów i kwiatów. A towarzystwo tak się rozpięzchało po nich, rozdzielając się swobodnie, i krok swe to za nowym kwiatem, to za nowym widokiem, to za głośniejszym echem słowików obracając, że mimowolnym zapewne losem, który wszakże skłonnościom trudno tajonym ulegać zdawał się, i żądane nastęrczał spotkania, tak nieraz zdarzyło się, iż pan Ignacy przeszedł obok Ludwiki przez altanę, że nieraz Edward spotkał się tam z Zofią. . . .

Lecz wkrótce zarzął gniadosz na dziedzińcu.

— Słyszycie panie! — rzekł kapitan, — gniadosz mój daje hasło. Czas panów kochanych pożegnać.

Więc wszyscy znowu zebrali się do altany. Przybor kryształowy, i niedokończone butelki stały tam jeszcze.

— Ej kapitanie! — zawołał pan Ignacy, — a nasz pocziwy toast szlachecki *kochajmy się!* czyż go nie wypijem? *Strzemiennego* kapitanie!

— Wypijem, kochany gospodarzu, — wypijem!

— Ach! czy jeszcze? — odezwiała się kapitanowa.

— Ani słowa, moja duszko! ani słowa — rzekł

kapitan pokręcając wąsa.—Pan Ignacy ma rację, taki toast nie odmawia się nigdy.

Juljan tymczasem rzucił okiem na wazon mirtu, i poznał, że on oberwany z gałązek; uśmiechając się więc i tém śmielszy, rzekł: — Panie nawet musicie choć dotknąć ustami naszych, a przynajmniej kapita-na lampeczki, bo odmawiając dowiodłybyście, że nas nie kochacie.

— Brawo Julianie! — wykrzyknęli koledzy—brawo propozycya!

— Ale wśród śmiechu wzbudzonego tą pretensją tak w *klar* oświadczoną, kapitanowa mająca zawsze jakby gotowy koncepcik dla wygmatwania się z biedy:—Zgoda!—rzekła—zgoda; nie możemy odmówić panom dowodu naszych dobrych życzeń, i wdzięczności za tak miłą gościnność, spełniamy więc to zdrowie limonadą.

— Słodko to pani, ale wodnisto,—odpowiedział Julian; — wszakże lepszy rydz niżeli nic; więc i za to dziękujemy.—Mężczyźni tręcili znowu w szklanki, i uściskając się wzajem, spełnili je.

Wkrótce koszyk z kwiatami, do którego Julian wniósł swą narzeczoną, otoczony czterma kawalerzystami, potoczył się za bramę.

Noc majowa krótka. „Już na górach świtał dzień“ (*) gdy trzej jeźdźcy wolnym krokiem postępujący, wjeżdżali w długą brzoźową ulicę, prowadzącą

(*) Zaleski.

do dworu pana Ignacego. Łatwo zgadnąć, że to byli kawalerzyści powracający z eskorty.

— A cóż Ignacy?—zapytał Julian, przerywając długie milczenie,—wazon mirtu oberwany z gałązek? coś to jakby po oświadczeniach i po przyrzeczeniach?.... Cóż?....

— To jest.... tak.... niby.... — odpowiedział jękając się Ignacy.

— A ty Edwardzie? cóż?

— Coś.... nakształt tego.... — odpowiedział również na ten raz zająkliwy Edward.



E P I L O G.

Lat trzydzieści później.

Wprowadzając czytelnika do téj samej altany po latach trzydziestu, wzywam go znowu, aby we własném życiu pamięcią o taki lat przeciąg się cofnął, jeżeli mu ich dosyć do takiej rachuby, i tym sposobem podwójną z siebie samego utworzywszy postać, obu jak w zwierciadle czarodziejskiém się przypatrzył... Uśmiechnie się zapewna i zasępi, lecz się i zaduma razem; bo ta różnica powierzchowna zwróci naturalnie myśl jego i na wewnątrz, a tam różnica nie jedném może objawi się westchnieniem.

Wezwanie to moje nie jest bez interesu. Przebiegłszy bowiem czytelnik wspomnienie swój żywój, bezładnej, zalotnej, często płochój, a zawsze szczęśliwej i wesołej młodości, pobłażliwszym będzie na to, co wyżej przeczytał. A jeżeli przebiegać będzie ciąg wypadków i przemian około niego zaszłych, przemian ducha towarzystw we wszelkich względach, we wszelkich odcieniach pojęć i nauk ludzkich, tra-

fić może na rozwagi przedmiotu tak blisko z sercem i uczuciem naszym połączonego, a którego perypody przejścia, lekko tu rozwijam, i tym sposobem dopomoże mi do osiągnięcia celu najważniejszego w piśmiennictwie: *połączenia się autora z czytelnikami.*

Około okrągłego stołu w altanie, siedzieli więc teraz znowu pan *Ignacy*, pan *Juljan* i pan *Edward*. Czas posrebrzył lekko włosy *piérwszego*, *drugiemu* przerzedził je na głowie, *trzeciemu* wyrył na czole i wyraził w oku nałóg głębszych zadumań i wewnętrznej pracy ducha.... a wszystkim trzem stał z oblicza ów jasny blask młodzieńczej barwy, jak się ściiera lsknąca powłoka kamiennych popiersi, z pod której blady objawia się marmur.

Ignacy i Edward siedzieli oparłszy głowy na dłoniach, wpatrując się i słuchając pilnie czytającego Juljana. Chwila uroczysta! Duch *Dantego* był pomiędzy nimi!

BOSKIÉJ KOMEDYI

— rzekł tłómacz —

Pieśń Ostatnia.

„Dziewico-matko, córko twego Syna,
Najpokorniejsza i najwyższa w Niebie,
Przedwiecznej woli granico jedyna!
Ludzka natura w tobie i przez ciebie
Tak się podniosła, że z jój uszlachceniem,
Nie wzgardził stać się jój Stwórca — stworzeniem.

W żywocie twoim, o Matko-dziewico!
 Zatlilaś miłość, pod której gorącym,
 Kwiat ten kielichem świecąc gęstolistym
 Bujnie w pokoju rośnie wiekuistym.
 Ty jesteś łaski południowém słońcem,
 Na ziemi żywą nadziei krynicą.
 Niewiasto! twoja tak wielka potęga,
 Kto cię nie błaga, a po łaskę sięga,
 Bezskrzydłą żądzą ten w górę się wznosi.
 Dobroć twa wspiera nietylko kto prosi,
 Często przygiętych boleści ciężarem
 Uprzedza prośbę dobrowolnym darem.
 W tobie się łączy miłosierdzia Pani
 Podożność, miłość, dobroć, szczodroblivość;
 Oto ze świata najgłębszej otchłani.
 On, który wchodząc na te niebios szczyty,
 Widział kolejną wszystkie duchów byty,
 Błaga cię, wzmocnij łaską jego oko,
 Aby widzeniem wzniosł się tak wysoko,
 Gdzie ostateczna jest jego szczęśliwość.
 Ja, com goręcej takiej wzroku siły
 Nie życzył sobie, jak jemu tu w niebie,
 Wszystkie modlitwy moje się do ciebie,
 Błagając, oby daremne nie były!
 Niech śmiertelności swój skazy i błędy
 Za twą przyczyną jako mgły rozproszy,
 Aby mógł utkwąć wzrok w Arcy-rozkoszy.
 Ty, która możesz co chcesz o Królowo!
 W nim twą opieką zwalcz krewkie popędy,
 Błagam cię jeszcze, po widzeniu takim
 Chciëj w nim zachować chęć i wolę zdrową.
 Patrz, Beatryce z Błogosławionemi
 Składają dłonie, i całym orszakiem
 Modlą się łącząc swe prośby z mojemi
 W mowę przez Boga ukochane oczy
 Utkwione, dały nam znać jako posły,
 Jak głos modlitwy dla niej jest uroczy.
 Potëm na wieczne światło się podniosły.

Trudno nwierzyć, że twór w takie Słońce
Zatapiał oczy tak przenikające!

Do kresu wszystkich mych życzeń z zapalem
Gdym się przybliżał, czułem niepomału
Jak stygł mój żądry cały żar zapalu.
Bernard (*) z uśmiechem wskazywał mi giestem,
Ażebym w górę patrzył, i patrzałem
Czując, że takim jak być życzył, jestem.
Bo wzrok mój według ducha przemienienia
Był więcéj czystym, i wrażał spójrzenia
Coraz to głębiéj w Arcy-światło żywe,
Które jest jedno przez siebie prawdziwe.
Wzrok mój był odtąd wyższy nad moc słowa.
Słowo i pamięć zbytniém wysileniem
Mdleją, przed takim korząc się widzeniem.
Jako widzący we śnie, po minionem
Wrażeniu, czucie swych wrażeń przechowa
Choć rys obrazu tonie w tle zamgloném,
Takim ja jestem, bo moje widzenie
Wionęło z duszy jak senne marzenie;
A jeśli słodycz z niego urodzona
Czuję jak spada kroplami w to serce,
Tak śnieg od słońca topnieje niezwłocznie,
Tak się rozleca, kiedy wiatr zadmucha
Na wiotkich liściach spisane wyrocznie (**).
Śmiertelną myślą o niedościgniona
Wieczna Światłości! skrześ z mojego ducha
Cząstkę płomienia na twe podobieństwo,
Zapał mój język, aby choć w iskieerce
Przekazał przyszłym pokoleniom gwoli
Chwałę płomiennéj twojéj aureoli.
Aby przez trochę wrażeń z mych uniesień,
Przez trochę dźwięków odbitych z mych piosen

(*) Święty Bernard.

(**) Sybilli wyrocznie.

Świat łatwiej pojąć mógł twoje zwycięstwo!
 Wierzę na ranę palącą jak płomień,
 Jako mym oczom zadał żywy promień,
 Że mógłbym nagle olsnąć, gdyby były
 Oczy się moje odeń odwróciły.
 Pomnę jak wolą przezeń ośmieloną
 Dopótym wzroku wytężał potęgę,
 Aż go stopiłem z siłą nieskończoną.

Obfita łasko! o przez którą śmiałem
 Tak oczy w wiecznej zagłębić Światłości,
 Że czulem jak w niej wzrok mój przetrawiałem,
 W jej głębokościach treść rzeczy widziałem
 Z miłością w jedną z oprawionych księgę,
 Porozrzucanych kartami po świecie.
 Rzeczy, wypadki, ich różne własności,
 W księdze tej łączy taka jedność zwięzła,
 Jak w pączku kwiatów zieloność i kwiecie.
 Nawet w powszechną formę tego węzła,
 Najmocniej wierzę, zem widział na oko,
 Bo gdy to mówię, radość niepowszedna,
 Czuję, jak pierś mi napęlnia szeroko.
 W letarg mię większy wtrąca chwila jedna,
 Niż świat dwódzieste i więcej stolecie,
 Odtąd na wielkie Neptuna zdziwienie
 Po morzach Argów pławiły się cienie.
 Duch mój tém światłem zachwycony żywem
 Coraz się większym zapalał podziwem,
 A tej Światłości skutek tak uroczy,
 Że niepodobna od niej zwrócić oczy,
 I patrzeć w inną rzecz z uwagą nową,
 Jeżeli dobro, jako przedmiot woli,
 Z nią się bezwzględnie i całe zespoli:
 Bo w nim jest tylko doskonałość, dzielność,
 Za krańcem jego błąd i skazitelnosc.

Odtąd już słabszém stanie się me słowo,
 Aby rozwinąć moich wspomnień zwoje,

Od głosu dziecka w pierwszym jego roku
 Gdy jeszcze piersią wilży usta swoje.
 Nie żeby wieczne to światło w mém oku
 Łamało promień z potężniejszą siłą,
 Które jest zawsze też same jak było;
 Cała przyczyna leży w moim wzroku,
 Który, gdym patrzył, wzmacniał się tajemnie,
 Gdy się zmieniałem, sam się skaził we mnie.
 Widziałem w kształcie troistych obręczy
 W głębi najwyższej Światłości trzy kręgi,
 Troistęj barwy, jednego rozmiaru,
 Odblask dwóch pierwszych był równęj potęgi,
 Trzeci wiał z obu jakby ogniem żaru.
 Myśl chcąc wyrazić czuję chrypkę w głosie,
 Od moich widzeń skrzydło myśli śmiałe
 Odlegle więcej jak o niebo całe,
 A słowa moje tak karle i małe!
 Światłości wieczna, co w sobie zamknięta
 Jedna pojmujesz siebie i pojęta
 Kochasz się w sobie, uśmiechasz się do się,
 Krąg, który zda się poczętym był w Tobie,
 Jak promień światła w źrenicy złamany,
 Gdy po nim oczy moje przebiegały,
 Zdało się, patrząc, pośrodku miał w sobie
 Nasz obraz własną barwą malowany;
 Dla tego wzrok mój w nim utonął cały.
 Jak jeometra co niespaniem błądy
 Ślęczy nad kołem do zawrotu głowy,
 I nie znajduje szukanęj zasady,
 Stałem się takim na ten widok nowy!
 I chciałem widzieć, jak ten obraz społem
 Przysłał do koła i złączył się z kołem,

Lecz tam nie mógłbym wzlecieć skrzydłem własném,
 Gdyby nie duch mój rażon światłem jasném,
 W którym już jego żądry nie nie drażni.
 Tu mdleje siła mojęj wyobraźni;

Lecz chęć i wola, jako potoczone
 Koła zarazem w kolój swojej jazdy,
 Przez miłość w inną zwróciły się stronę,
 Miłość co wprowadza w ruch słońce i gwiazdy.

Koniec.

Juljan złożył rękopis, i otarł czoło.

— *Exegisti monumentum!* Juljanie, który imię twoje w literaturze ojczystej nieśmiertelném uczyni,— rzekł Edward, i razem z Ignacym czule go uścisnęli.

Oto praca moja ostatnia, — mówił Juljan, kładąc uroczyście i z niejakiem wzruszeniem rękę na rękopisie. — Zacząłem od tłómaczenia liryków *Horacyusza*, kończę na tłómaczeniu *Danta*; zawód to trzydziesto-letni! od rzymskiego arcy-klassyka, do średniowiecznego arcy-mistrza „który jest rzeczywiście symbolem (*) przymierza między klassycyzmem i romantyzmem. Cały zarys téj jego wielkiej kreacyi *Boskiej komedyi* ma porządek architektoniczny najklassyczniejszego stylu; linie, że tak powiem, geometryczne; a jednak cykl jego poematu, obejmujący przejście upadłego w grzechu człowieczeństwa, przez życie doczesne w życie wieczne, poza-światowe, z wynagrodzeniem wedle zasługi ziemskiej, wieczném potępieniem, doczesną czyscową pokutą, i tryumfem w niebiosach dusz zjednoczonych z Bogiem, rozpostrzenił olbrzymie ramy swoje w nieskończoność, zostawując za sobą wszystkich najśmielszych romantyków. Wszystko co jest pięknego w klassycyzmie starożytnym, i w romantyzmie nowożytnym,

(*) Słowa własne Korsaka.

Dante pierwszy znalazł i zjednoczył w jedną tęczową barwę; a idee wieczne *piękna, dobra i prawdy*, jak trójkran, jak *tyara* wieńczył jego poezję.

„Ot wiecie co?“ mówił on dalej z niejaką rzewną smętnością: „zdrowie moje od niejakiego czasu, nie zupełnie dobre; wszystko na świecie przemija: a chciałbym za życia mego jeszcze wydrukować ten przekład, i zostawić po sobie tę pamiątkę ziomkom.“

Ledwo to wymówił; nagły i niespodziany, bo powietrze spokojném było, silny jakiś prąd wiatru przecisnął się przez drzewa, zaszumiał w gałęziach, zafurczał po stole w papierach, a karty rękopisu Juliana zwichrzył i przewracał gwałtownie.“

Wszyscy trzej jakby tym wichrem razem z miejsc ruszeni, porwali się raptem, i z zadziwieniem spojrzeli po sobie.

— Co to jest? — wszyscy razem zapytali, i milczeli....

— Altana twoja, panie Ignacy, cudowna, — rzekł na koniec ze smutnym uśmiechem Julian: — duch proroczy w niej się niekiedy objawia. Odezwał się on tu niegdyś w głosie słowika, w chwili gdy przypomnie sobie, Józia natenczas kilkoletnie dziecko, dziś moja żona, gałązkę mirtu mi dała; tyś Edwar dzie piosnkę tę jego natenczas nazwał hymnem dla mnie weselnym, i mnie to przemknęło po myśli, bo pamiętam wszystkie me z tamtej chwili wrażenia, że pieśń ta jego, jest wróżbą mojego szczęścia, które się po latach kilkunastu i ziściło. Teraz duch ten przeleciał uraganem po mym rękopisie... po mych nadziejach.... a uragan niszczy!... patrzaj-

cie, znowu cicho i spokojnie... słowa moje wywołały go.

Ludzie skupiający życie w duchu, wznoszący się nieustannie wyobraźnią i myślą w świat tajemniczy, z upartą żądzą odgadnienia jego cudów, wrażliwsi są zwykle na wszelką nadzwyczajność, bo ją wnet odnoszą w tę krainę, w której tak często goszczą i marzą, i we wpływ której na losy ludzkie dowierzać zwykli; a tak się najczęściej składa, że traf czy nie traf zadając trudny orzech do zgryzienia rozumowi, pozór i prawdę na ich stronie objawia. Takimi mniej więcej byli wszyscy trzej przyjaciele. Więc ani Edward, ani Ignacy, zdumieni równie jak Julian, nie mogli w téj chwili zdobyć się na potoczne nawet słowa, któreby to przesądne uczucie jeżeli nie zniweczyły, to zagadały przynajmniej. Milczeli więc, aż nakoniec sam Julian składając swój rozwiany rękopis, do którego dotąd dotknąć się nie śmiał, z weselszą twarzą odezwał się:

— A czy pamiętacie nasz sławny tu podwieczórek dla dziewic, które są dziś naszymi żonami, a na którym moja Józia została mą narzeczoną? Czy pamiętacie jakeśmy wystąpili ślicznie, a poetycznie? A twój Helikon, panie Ignacy, dla czegoś dał mu upaść? szkoda! była to najpiękniejsza ozdóbka twojego ogrodu! Czy pamiętacie jak tu wszystko było natenczas kwiecisto, wonno, różowo? Zaloty nawet wasze były różowe, piękne, udatne, wytworne i tchnące poezią, dwornym wdziękiem czasów i szkoły, że tak powiem, Ludwika XIV-go.

— Dziś zaloty takie byłyby może śmiesznymi w oczach teraźniejszej młodzieży, — przerwał Igna-

cy, — bo jój sentymenta miłosne tchną raczej wonią cygarów.

— Powiedz przynajmniej wonią papierosów, które i dziewicze ustka smoktać już nawykają, — rzekł Julian.

— A jakżebyśmy mieli zapomnieć tego wszystkiego — odezwał się Edward, — gdy od tego podwieczorku, datuje najwyraźniejszy akt naszego życia, to jest ożenienie, nawet i twoje Julianie, bo i dla ciebie, jak to sam dobrze pamiętasz, i jak gdzieś dobrze powiedział Ignacy w swoich obrazach (*), mignął wtenczas błysk wieszczcy przewracającej się karty w księdze przeznaczeń naszych.

— A więc i teraz uragan przewrócił kartę w tój mojej księdze — rzekł Julian.

— E dajże pokój! — przerwał Edward, — poprzewracał tylko karty w twym rękopisie i nic więcej. Posiedźmy tu dłużej, to pewny jestem, że kilku takich Eolów dmuchnie nam w oczy; dzień gorący, burza się zapewna zbierze, a to są zwykłe jój kuryery, które naprzód wysyła.

— A jeżeli brać to za wróżbę, — dodał Ignacy, — toć bliżej za wróżbę sławy, która twą pracę i imię rozniesie po świecie.

Julian kiwał głową i milczał, a Edward i Ignacy czuli, że ani jemu, ani sobie, we smutném tém nawianém wrażeniu nie ulżyli swoją perswazyą.

(*) Śmierć mojego dziadka.

— A czy pamiętacie, — ozwał się znowu Edward, naszą natenczas literacką dysputę o *klassycyzmie* i *romantyczności* w poezyi? wszakże to trzydzieści lat upłynęło odtąd; i rzecz dziwna, nigdy nam się nie złożyło być tak razem we trzech w tój altanie, jako wtenczas i dzisiaj. Możemy sobie wyobrazić, że nasze literackie towarzystwo, co lat trzydzieści miewa swoje posiedzenie. Protokół pierwszego mamy w pamięci, i tak naprzykład:

„Towarzystwo zebrane w pełnój liczbie swych członków, niekoniecznież kłaść wyraźnie wiele tych członków było; otworzywszy swoje posiedzenie na *Helikonie*, przeniósł się do lokalu na wzór szkoły Platoniskiej, w ogrodzie w lipowej starożytniej altanie obranego, i tam zajęło się ścisłym rozbiorem toczącej się powszechnie kwestyi w literaturze i poezyi, między szkołą dotąd zasadniczą *klassyczną* i nowo powstałą *romantyczną*; a po zgłębieniu i rozpatrzeniu *pro et contra* wziętėj pod rozwagę materyi, uznawszy że to jest *materia gravis*, skonkludowano większością głosów, (bo pamiętasz panie Ignacy żeś uparcie trwał przy swoim) zostawić czasowi....

— A to pięknie! — przerwał Ignacy, — zwykła decyzja niedołężnych.

— No, no, czekaj, — mówił Edward, — zostawić czasowi rozwinięcie się na drodze nowych wyobrażeń sił, nie tamowanych przymusem dawnych *klassycznych* instytucyj, i oznaczając dzisiejszy peryod, jako rozpoczynający nową erę w literaturze i poezyi, ostateczne rozwiązanie jēj wpływu na powszechność w ogólności, a w szczególności na autorów, i na

samychże szanownych członków towarzystwa, odłożyć do drugiego posiedzenia.“

Wszyscy trzej się uśmieli.

„Po czém — mówił znowu Edward, — zaproszona publiczność obojęd płci, uprzejmie przyjętą i traktowaną była, a nakoniec spełniano toasty stosowne do okoliczności. Ot i macie według wszelkiej rutyny i formy protokuł.

— I wyśmienity! żaden uczony sekretarz częściej treści mądrych konferencyj, w zwięzlejszy kommunal nie zebrał, — rzekł pan Ignacy, — znać redaktora Gazety, i dla tego mianujemy cię dożywotnim sekretarzem naszego towarzystwa. Wiesz, że w sławnej akademii francuzkiej, *sekretarz* dożywotni nazywa *prezydenta*; i tu więc też samą prerogatywę rozciągamy, zwłaszcza z uwagi, że i w wielu instytucjach dzisiejszych, prerogatywa ta *de facto* istnieje.

— Zgoda! — rzekł Juljan.

— Przyjmuje urząd, i dziękuje szanownym kolegom za wysokie zaufanie, którem mię zaszczycać raczą, — rzekł Edward z udaną powagą i kłaniając się obrzędowie; — a nim we wstępnej perorze, jak to zwyczajnie bywa, wypłacę się im pochwałami ich nieporównanych zasług i talentów, tymczasem wstępując w nowy obowiązek, rozpoczynam *protokuł* drugiego posiedzenia:

„Otwartém ono zostało w téjże samej altanie uroczystém odczytaniem tłómaczenia ostatniej pieśni nieśmiertelnego poematu Danta *Boskiej komedyi*, przez samegoż tłómacza. Przyznany mu dank prawdziwy, za tak piękną i wielką pracę, ku pożytku

kowi literatury ojczystej i ku sławie własnej podjętą i szczęśliwie dokonaną.

„Następnie wezwany został (i wzywa się) szanowny członek towarzystwa pan Ignacy, do odczytania wyjątku z piszącej się przezeń powieści, a to celem zebrania rozwagi nad duchem dzisiejszego powieścio-pisarstwa. No, słuchamy.

— A jużciż szanowny sekretarzu, z jednego małego wyjątku, nie zdołamy sformować wniosków o całym powieścio-pisarstwie naszym — rzekł pan Ignacy.

— No, wszelakóż ma rację Edward, — ozwał się Julian; — suponuje się bowiem że je znamy w ogólności, a tylko wprowadzić nas możesz na trop główny.

— Dobrze zresztą, gdy tak chcecie, — mówił Ignacy biorąc rękopis. — Tytuł mającej być powieści: *Jesień w klasztorze*; przeczytam wam rozdział jeden, i zaczął:

PRZYJAZD DO KLASZTORU.

Godło rozdziału:—

Słyszycie? jako głosząc cześć Panu nad Pany
Ozwały się poważne i święte organy!
O jak brzmią pełne tony w tryumfálnej pysze!
Jak się gwar przerywany ze drżeniem kołysze...

Jak słodkie i miękkie głosy,
Ucho nasze lechcą mile;
Jak rosną, rosną w swój sile,
I w same biją niebiosy!

POPE. *Oda do Muzyki na cześć
Ś-tój Cecylii.*

„Wrzesień nazywamy jesienią, lecz miesiąc ten stalszą i czerstwą pogodą przyjemniejszym u nas

bywa, niżeli spiekle upałem, i owadami osypujące lato. We zwyczajnych porównaniach por roku do por życia ludzkiego, jesień wypadła na wiek dojrzały, męzki, i słusznie: używać w niej bowiem zaczynamy owoców z zasiewów wiosennych i ze zbiorów letnich, przygotowując z nich razem i zapasy na zimę. Słowa te tak do prac rocznych żywiących ciało człowieka, jako i do prac duchowych, żywiących umysł jego, równie zastosować się mogące i stosowywane niejednokrotnie, usprawiedliwiają to nader upowszechnione porównanie. Szczęście! gdy jesień roku i jesień życia są pogodne i czyste.... gdy jedną w głąb zimy, druga w głąb starości przedłuża się, i wchodzi. Cieszy się własną *rolnik*, cieszy się własną *mędrzec*, a oba dziękują w duchu, sobie za wytrwanie w pracach i znojach letnich, Bogu za ich pobłogosławienie!

„W początkach takiej pięknej jesieni, stosuję tu do pory roku, w niedzielę i ku schyłkowi dnia zbliżałem się do *Zaświrza* (*).

— Znaćcież *Zaświrz*? — zapytał przerywając czytanie Ignacy.

— Znamy, — odpowiedzieli, — i jego piękną nad jeziorem Świrskim pozycję.

— A więc: „W niedzielę i ku schyłkowi dnia, zbliżałem się ja do *Zaświrza*. Już był przeminał lud wracający z nabożeństwa; kiedyniekiedy tylko pojedynczy opóźniony chłopiek, wlokąc się pieszko, lub skrzypiąc na kałamaszce, spotykał mię chrze-

(*) *Zaświrz* — Wieś i klasztor XX. Karmelitów, w powiecie Święciańskim.

ścijańskiem pozdrowieniem. Lecz wkrótce z zapadającym zmrokiem, droga się osamotniła zupełnie, i ja wlokłem się także powoli po-nad jeziorem, zmęczonemi długą podróżą końmi.

Nakoniec księżyc w pełni wzniósł się nad wodą, i przywiódł mi na pamięć złudzenie w podobnej okolicy poety:

„Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.”

Nareszcie rozlegające się po suchém i pogodném powietrzu echa dzwonów kościelnych, uroczystym mię swym spotykały dźwiękiem; zdaleka zaś zajaśniały okna kościelne gorejącemi w świątyni ogniami, ómione to mniej to więcej gałęziami drzew ją otaczających, w miarę odmiany mego względem nich położenia na drodze. Natenczas okolica ta niewymówny przybrała urok! niewymówny! nieopisany! unoszący duszę ku niebu w modlitwie, lub w myślach z niej wypływających, i znowu wracających ku niej....

Dzwony, których odgłos mię przejął, na zwykłe niedzielne wzywały nieszpory, a oświetlenie kościoła dawało mi znać o trwaniu nabożeństwa. Lecz gdym się zbliżał na miejsce, okna kościelne świecić przestały, a zatem nieszpory już się skończyły. Ze jednak przed bramą kościelną stał jakiś pojazd, a w kościele brzmiały organy, przeto można jeszcze było odmówić przed ołtarzem wieczorną litanię. Wszedłem więc do kościoła.

Jedna tam lampa gorejąca na środku, słabym ognikiem migiała w około, a przez długie okna świa-

tyni promienie księżyca wpływając wewnątrz, rzucały po ścianach i ołtarzach pasma światła powszechnym objętego pociemkiem. Jeden z nich padł na obraz fundatora w całej postaci wiszący na filarze, i oświecił poważne oblicze rycerskiego męża, jakby strzegącego gmachu przez się na chwałę Bożą wzniesionego.

Organ brzmiał bez przerwy, ale tak umiejętna i pełna uczucia ręka grała na nim, że mimowolnie zwróciłem głowę ku chorowi, aby ujrzeć grającego. Księżyc mu także przyświecał, i w niepewnym jego a oddalonym ode mnie blasku, zaledwo dostrzedz i rozróżnić mogłem dwie tam osoby: jedną grającą na organie, drugą obok, zdawała się być kobietą, a raczej jakimś cieniem fantastycznym, w białej i powiewnej szacie, powietrzem przez szpary i okna wciskającym się kołysanym.

Mistrz to był, a nie prosty organista, który taką harmonię tworzył w duszy swojej, i ona po głuchym i samotnym gmachu rozlewał. Łatwo mi było poznać, że improwizował swoją muzykę, że *modlitwa* głęboka, serdeczna, czuła, była tematem myśli jego waryowanych rzewnemi i pięknemi tonny. Niekiedy prosta nótka pobożnych naszych kościelnych pieśni podpadła mu pod rękę, jakoby *motivum* tonące wnet w rozmaitych pełnych wdzięku i słodyczy głosach... niekiedy szczytniejsza myśl wielkich mistrzów sztuki, ozwała się w rozpięzchnionych akordach, i uikła potem w główną ideę grającego.

Oparty o ławkę, stałem z upokorzoném czołem, duszą jednocząc się z jego harmonią wznoszącą się

coraz i coraz szczytniej w niebiosach.... Nagle, jakby on tam doścignął, jakby ujrzał twarz w twarz Wszechmogącego!... i niewymówną światłością oblicza jego, i niewymówną wielmożnością chwały Jego przejęty... wszystkimi tonami i wszystkimi uczuciami serca swojego — uderza w organ! a całą siłą męskiego głosu swych piersi wtórzy mu — łączy się doń zgodnie głos dziewiczy, miły, dźwięczny, jakby jednego z aniołów do wspólnego choru zjednanych... i zabrzmiała pieśń! pieśń *wezwania* całej ziemi, całego *świata*, całego *nieba*, całej *natury*, do oddania czci i hołdu Stworzycielowi!!

„Niebo, ziemia, świat i morze!

Niebo, ziemia, świat i morze!

I co tylko w was być może,

Jak najgłębiej upadajcie,

Pokłon Panu z nami dajcie!

Z chór niebieskich Aniołowie!

Z chór niebieskich Aniołowie!

Wszyscy niebiescy Duchowie!

Zstąpcie do tego padolu,

Śpiewajcie z nami pospołu!

Święty! Święty! niezmierzony i t. d.

Upadłem na kolana... łzy mi z oczu popłynęły potokiem. Pieśń ta święta, tak dobrze od dzieciństwa i mnie i wszystkim znana, coniedzielną, a tak mało rozważana, w której nócie nawet taka się prostota i uroczystość łączy, pierwszy mię raz teraz tak głęboko uderzyła w serce.

O! czemuż natenczas nie był obok mnie niedowiarek jaki, ogmatwany fałszywą mądrością wy-

pierającą się Boga i religii ojców swoich! lub w gnuśnej wątpliwości zastygły tak zowiący się filozof, lub młodzieniec stojący na rozdrożu światowego zepsucia. Czyżby każdy z nich nie upadł tak jak ja na kolana? i czyby zdołał dotrwać w zimnej obojętności przed potęgą takiego wrażenia?

Pieśń cała z równym i jednostajnym uczuciem prześpiewana, a przesłuchana przezemnie, zakończyła się pokorną i czułą prośbą do Boga:

Sprawuj pokój w naszych krajach!

Sprawuj pokój w naszych krajach!

Pobłogosław w urodzajach,

A zaś w ostatniej potrzebie,

Nie daj nam skonać bez Ciebie!

Organ i głosy umilkły... głucha cichość objęła kościół.

Ciekawy byłem ktoby był, co mi tak miły wstęp do tej gościny sprawił? kto była wtórująca mu anielskim głosem dziewczyna? bo w takie czyste i niepokalane formy ubierała ją wyobraźnia moja; lecz nim wyszedłem z kościoła, uprzedzili mnie oni, i ujrzałem tylko odjeżdżający pojazd, w którym zapewne była ona: a mężczyznę wchodzącego do klasztoru.

— A widzisz,—rzekł Julian, kładąc niedopalone cygaro — a widzisz, że z tego jednego twego rozdziałku, myśl jednak objawia się wyraźna, że nie są to jak w dawniejszych powieściach rozrzucone

moralki, wciskane między foliały mierności. Dziś każdy prawdziwy talent, w prozie, czy w poezji, swobodnym a rozmaitym szlakiem wznosi się do jednego celu, do źródła *prawdy* i *miłości* powszechnej, to jest, do Boga i ztamtąd przyjmuje natchnienia.

Edward wstał na te słowa, i mówił z przejęciem się:—„Posłuchajcie słów mistrza.“

Rozum i Wiara.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem;
Pan je wzniosł w niebo, jako tęczy koło,
I umalował promieni tysiącem.

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;
Gdy cała ludzkość złęknie się potopu,
Spójrzy na tęczę i wspomni przymierze.

Panie! mą pychę duch pokory wzniecił,
Choć górnio błyszcze na niebios błękanie,
Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił,
Mój blask, jest słabe twych ogniów odbicie!

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary,
Z różnych jej mniemań i barwą i szumem,
Wielkie i mętne gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne—przed oczyma wiary.

I was dostrzegłem o dumni badacze!
 Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
 Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze,
 Chcieliście mali, obejrzeć krąg świata.

Konieczność, rzekli, wedle ślepej woli
 Panuje światu, jako księżyc morzu.
 A drudzy rzekli: przypadek swawoli
 W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu.

Jest Pan, co objął Oceanu fale,
 I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;
 Ale granicę wykował na skale,
 O którą wiecznie będzie się roztrącać.

Darmo chce powstać z ziemskiego pogrzebu,
 Ruchomy wiecznie, ruchem swym niewładnie;
 Im wyżej buchnął, tém głębiej upadnie,
 Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.

A promień światła który słońce rzuci,
 Na szumnój morza igrając topieli,
 Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,
 I znowu w niebo, zkąd wyszedł powróci.

Rozumie ludzki! tyś mały przed Panem,
 Tyś kroplą w jego wszechmogącej dłoni;
 Świat cię niezmiernym zowie Oceanem,
 I chce ku niebu na twój wzlecieć tóni.

Zdajesz się tykać brzegu widnokręga,
Daremuie z żaglem nawa leci chyża;
Opływa ziemię, niebios nie dosięga,
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.

Wzdymasz się, plaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz, i w górę się ciskasz,
Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem—tyś zawsze na ziemi!

A promień wiary, którą niebo wznieca,
Topi two krople, zapala two gromy,
I two pogodne zwierciadła oświeca,
Ach! ty bez wiary, byłbyś niewidomy.

Oto jest podoby drugi ustęp,—rzekł Ignacy,—i deklamował z równémże czuciem:

„Panie! głos twój woła,
I rozumiem two skinienie.
Mam odkupić dar mnie dany,
Twój najdroższy dar—natchnienie!
Pychę moją pokalany,
Poniżony do narzędzia
Chluby swój!

Nieprawdaż że w onczas kiedyś dla chluby tylko
własnej pisaliśmy?

I nim jak sędzia
Liczbę karzesz dać z użycia
Strón i pieśni, jak z sił życia,
Czuję Panie, żeś dał porę
Grzech naprawić przez pokorę;
Dar twój we mnie zmienić Panie!

W mą zasługę, przez uznanie
 W nim twój łaski, przez uczczenie,
 Przez, choć późne, poświęcenie.
 Ku czci twojej Panie! Panie!
 Jako każesz niech się stanie.

Błogosławiony, czyj duch w natchnieniu
 Tak może lecieć, tak leci w zwyż,
 Że świat znikomy znika w spójrzeniu,
 Że widzi tylko w jasnym widzeniu
 Życie w wieczności, Stwórcę w stworzeniu.
 Dwa ich ogniwa, w wiecznym zetknięciu,
 Duch na niebiosach—na ziemi krzyż!

O i na ziemi błogosławiony!
 Kto z wzniesionemi w niebo ramiony,
 Łzę skruchy tylko zabłyśnie!
 Z duszy i z ciała jest on już razem,
 Ducha naczyniem, krzyża obrazem,
 I Chrystus na nim zawisnie.
 I jak z ołtarza z nad serca jego
 Ofiarę z siebie wzniesie za niego,
 I krwią go swoją obmyje;
 I zstąpi za nim w śmierci otchłanie,
 Aż człowiek z Bogiem z martwych powstanie
 I przez krzyż w duchu ożyje.

— Dziękuję za cytacyę, — rzekł Edward, — pisałem
 com czuł i czuję.

— I nie ty jeden, albo tam nas kilku piszemy
 podług swych uczuć i serca — mówił dalej Julian. —
 Ktokolwiek dziś bierze pióro w rękę, na publiczne
 ogłaszanie myśli swych, inaczéj pisać nie może,
 ani powinien. Od czasu, gdyśmy tu naszą dyspu-
 tę mieli, to jest od czasu, gdy spór między *roman-*
tyzmem i *klassycyzmem* się ważył, i gdy w prze-
 sileniu duch wyzwalając się od krępujących go

wieżów, wejrzał w krainę światła i prawdy, a w niej nowe ideały piękności odkrywając, stał razem, jak Archanioł szatanowi, głowę niedowiarstwu, którym i proza i poezya napełnione były—jakże wielkie, ważne i szerokie postępy stały się w wyobrażeniach naszych! i w tém wszystkiém co na moralne udoskonalenie nasze wpływać może....

— A czy wpływa?—przerwał Ignacy.

— Wpływa i wpłynęło, — kończył Juljan. — To my całe napełniłby można dowodami tego oczywistego wpływu. Lecz zwróćmy się szczególniej na tych, których powołaniem jest nauka i rozpowszechnienie jój słowem natchnioném, czy to wiązaném w miłe poezyi formy, czy w malowniczej prozie objawiona, to jest na poetów i powieściopisarzy, rozmaitemi treściami zajmujących dziś powszechność wszelkich cywilizowanych narodów i naszą, a zatém wydających najwięcej owoców, któremi się karmi w danym czasie myśl ludzka. Cóż ich piórem? co ich uczuciem kieruje? co ich zapala? unosi? co nakoniec jest najgłówniejszą dzieł ich i utworów osnową? Gdybyś do każdego z nich zwrócił twoje pytanie, które tak dobrze pamiętam: „*unde venis? quo tendis?*“ odpowiedziałby ci każdy: — „przychodzę z talentem natchnionym mi łaską Bożą, a idę z miłością w sercu, ogłaszać i nauczać ludzi téj miłości wzajemnej między sobą, a wszystkich ku Bogu!“ — Jak się im udaje spełnić ten cel piękny? to kwestya talentu lub obranej drogi; lecz ta główna idea, to wewnętrzne przekonanie o swém przeznaczeniu, o swém powołaniu; a co nawet wyższém nazwaniem ochrzczono,

o swém posłannictwie, udostojnia w oczach ich własnych, i sumieniu ich autorskiemu, (o którym mówiąc *intra parentesim* Kraszewski wyborny artykuł w swych *Studyach* napisał), nie pozwala się kalać cudzém zepsuciem, lub płocho rozrzucać skarby z góry im dane.

— Dodaj do tego, — rzekł Edward — że aby ta idea poświęcenia w umysłach niedojrzałych nie przerodziła się w pychę i zarozumiałość, i jak szatańców z nieba, do piekieł ich nie strąciła, czuwa religia, która dziś, niech będzie cześć Panu! przenika w rdzeń życia i napawa serce ludzkie *miłością, wiarą i pokorą*, z którą i najpotężniejsze talenta uginają przed nią swe czoła, głosząc te główne jój przymioty przed ludem. Przychodzi mi na myśl w takim duchu, jeszcze kilka wierszy moich własnych:

.....,O szczęście moje, zem wcześniej

Pojał cel wyższy i wieszcza i pieśni,
By czuć, że kto go osiągnie, wypłaci,
Wszystko co winien, dla ojca i braci.
Bo nie osiągnie aż wprzód sam usłucha,
Aż znajdzie w sobie głos prawdy i ducha.
Wtenczas tym głosem gdy powie do ludzi,
Ileż dusz ze snu na światło obudzi?
Cóż Ty innego chcesz po ludziach Boże!
Cóż człowiek nad to bliźnim zrobić może?

— Ot do czego doszliśmy, — mówił dalej Edward, — gdyśmy sami przez siebie myśleć i pracować zaczęli; a czego dowody na każdej prawie szlachetniejszej karcie piśmiennictwa naszego znajdziesz. U nas nawet więcej może niż gdzie indziej, bo

my w niewygasłym jeszcze zarzewiu pobożności i wiary praojców naszych zapalamy pochodnie, któremi teraźniejszym i przyszłym pokoleniom przyświecać mamy.

Tak bogate zasoby prawdy i piękna, któreśmy w sobie samych i w swojej przeszłości, jakby szybę złota rodzimego w swój ziemi odkryli, bronią nas teraz od cudzych pożyczek, to jest, od tego nie-
szczęśliwego naśladownictwa, które nas tak długo w niewolnictwie trzymało. Niedawno nawet jeszcze, gdy i u nas jak w całej Europie, w skargach bez przyczyny i w jękach bez bólu rozlegał się *Bayronizm*, rozpacz ta zarażając młodych, nie przeniknęła jednak w głąb serc i umysłów dojrzałych, napełnionych ufnością bez granic w Bogu, i rzewnemi doń w cierpieniach modły; a cień jój mały, który aż w duszę przesięknął, zostawił tam tylko urok niejakiś smętności, która się niekiedy w poezyi objawia, a tak łatwo z modlitwą zlewa się i jednoczy. Utwory zaś, a raczej potwory bluźnierczej i szalonej, niedawnej francuskiej szkoły, mimo powabu języka niezaprzeczonego talentu zmyślenia, odepchnęliśmy jak zarazę morową.

Więc kochany panie, epoka teraźniejsza pismienictwa naszego, jest czysta, prawdziwa, własna i duchowa, a co najważniejsza, chrześcijańska!!! Odnacza się tak wybitnymi cechami, tak wyrazistym obliczem, że ją najodleglejsza potomność rozróżni łatwo i oceni; uzacni ona wiek nasz i imiona pracowników, których natchnęła, i przez których jak promieniami od słońca rozstrzelanymi swe rozlewa nauki.... A wnosić można, że daleko w przyszłość panowanie jój! bo to

jest wcielenie się ducha, nietylko w naszą rodzinność, ale w ludzkość całą, a zatem i podzielać będzie losy ludzkości, które Bóg ma w swój pieczy!

....., I oby, jak za dawnych wieków,
Ród nasz, w obronie krzyża przed dziczą pogańską,
Uchrześcijanił cnoty Rzymianów i Greków;
Tak dziś w dziedzinie myśli wsparty łaską Pańską,
Duch nasz, przejrzawszy ze mgły Germańskich zacieków,
Z miłości, począł w Prawdzie sztukę chrześcijańską,
Coby myśli rozpierzchnę po marzeń przestworze,
Sprzęgła w jedno, ku pracy na królestwo Boże!

— *Amen!* — odpowiedzieli z uczuciem oba słuchacze.

— *Amen!* — po krótkiej chwili uroczystego milczenia odezwał się P. Ignacy. — Dawno już jestem renegatem ciasnych form klassycyzmu, i razem nauk XVIII-go wieku; zgadzam się więc na oczewiste dowody wpływu nowego światła na piszących. Ale niestety, trudniej uwierzyć we wpływ piszących, to jest, dzieł ich na czytelników; i do tego właśnie stosowało się zapytanie moje, które spowodowało waszą rozprawę.

— Trudno wierzyć, — odpowiedział Julian, gdy szczegółowo po jednym, ludzi z ich postępów badać i obliczać zechcesz; ale gdy wyrozumiałym sądem zajmiesz w rozprawę całe massy towarzystwa, przekonanie to nie może dziś być wątpliwem; a dowody wpływu tego tak widoczne, tak nieraz już wypowiedane, że przeszły w konnały, których ci powtarzać nie chcę. Zresztą, jest to interes partykularny w obec wielkiej sprawy całej ludzkości; niech

tylko płomień ten święty gore bezustannie w sercach i słowach nauczycieli, a przejść musi i do uczniów. Kwestya to czasu tylko. *Diderot* powiedział, że „jedna myśl fałszywa może zburzyć świat cały“ (*). Filozofy, autory i poeci XVIII-go wieku dowiedli tego, i nauczili świat *niedowiarstwa* i wątpliwości. Filozofy, autory i poeci XIX-go wieku, dowiodą, że jedna myśl prawdziwa i wielka, może świat cały naprawić, i niszczyć fatalne dzieło pierwszych, nauczają ludzi *wierzyć i kochać*. Miarą widomą postępu ich usiłowań będzie zawsze szacunek powszechny dzieł ich i ich samych: no toć i u nas prawdziwe talenta pracujące na téj drodze, nie mogą się uskarżać na brak téj najdroższej im nagrody.

— Jeszczeż wam jedno dam pytanie, — rzekł P. Ignacy — wynikające, jeżeli dobrze przypominam, z treści pierwszego posiedzenia naszego, bośmy natenczas własnej literackiej przyszłości wywróżyć sobie nie mogli. A zatém, my sami w tym wielkim rozwoju literatury naszéj, jakież zajęliśmy? i na jakie zasłużyliśmy stanowisko.

Zdumieni tą kwestyą *Juljan* i *Edward* z uśmiechem spojrzeli na pytającego.

— No *Edwardzie* — rzekł ten znowu, — stosownie do dystychu *Brodzińskiego*.

Nie zważaj że cię zarzut samolubstwa czeka:

Mów o sobie, gdy w sobie zbadałeś człowieka...

Autor *Felicyty* i *Barbary*, tłumacz *Dantego* i autor *Obrazów Litewskich*, czekają wyroku....

(*) O ileż ich sam napisał!

— Nie, mój Ignacy, — po krótkim milczeniu odezwał się z godnością Julian — sąd o nas do ziomków należy!!! My tymczasem „*służmy pocziwój sławie!*“ a sumienia tylko własnego o świadectwo pytajmy.

— Szanowny sekretarzu, — rzekł zatem z udaną powagą Ignacy, — zapisz to jednomysłne *conclusum* w protokule dzisiejszego naszego posiedzenia.

— Dobrze, — odpowiedział Edward, — ale kiedyż i gdzie posiedzenie trzecie? czy znowu za lat trzydzieści!

— Lat trzydzieści! lat trzydzieści! — powtórzyli wszyscy smętnie kiwając głowami. — Lipy te chyba terminu się tego doczekają, — mówił pan Ignacy, i po krótkim milczeniu, wznosząc wzrok i rękę w górę, rzekł:

Tam trzecie posiedzenie, gdzie wszystkim pójść trzeba,

I gdzie Bóg ściśle pyta mędrców tego świata:

Jak użyli talentów danych im od Nieba?

I gdzie najsprawiedliwsze — i sąd i zapłata!

K o n i e c.

1856 roku Lutego 26.

w Dziewiętniach.

Spis Rozdziałów.

Konwersacya Szlachecka przedkilkodziesięcioletnia.

I.....	5
II.....	12
III.....	19
IV.....	29
V.....	32
VI.....	47
VII.....	61

Konwersacya Młodzieńcza przedtrzydziestokilkoletnia.

I.....	71
II.....	78
III.....	87
IV.....	93
V.....	103
VI.....	111
VII.....	132
VIII.....	151
IX.....	159

Epilog. Lat trzydzieści później	164
---------------------------------------	-----

